

529.786

PORTRET KANTA
I TRZY ESSEYE
O WOJNIE

BOLESŁAW MICIŃSKI

PORTRET KANTA
I TRZY ESSEYE
O WOJNIE



INSTYTUT LITERACKI

RZYM

1 9 4 7

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603819

OKŁADKĘ
PROJ.
ST. GLIWA



II.529.786

EGZ. ARCHIWALNY

O. G. I. - Officine Grafiche Italiane - Roma - via Cesena, 14 - Telefono 767.166

1947 D 382

SŁOWO WSTĘPNE K. REGAMEYA

BOLESŁAW MICIŃSKI

1911-1943

Tomik poezji, zbiór esseyów, broszura filozoficzna, oraz „łabędzi śpiew”, wychodzący obecnie w druku — „Portret Kanta” — są to jedyne wydane dotychczas większe dzieła Bolesława Micińskiego. Śmierć w 32-gim roku życia nie pozwoliła mu dać ze siebie wszystkiego, na co było stać, trawiąca go latami choroba i tułaczkie życie emigracyjne podczas wojny unieemożliwiły wykończenie już prawie gotowych tomów jak praca o Julianie Apostacie i dwa nowe zbiory esseyów: „Dylizans filozoficzny” i „Na dnie szuflady”. Mimo jednak tak krótkiego życia i mimo szczupłego dorobku twórczego nie jest Miciński bynajmniej postacią, do której można by było zastosować we wspomnieniu pośmiertnym utartą formułkę „przedwcześnie zgasły, pięknie zapowiadający się talent”, by potem, po uspokojeniu sumienia raz na zawsze przykryć jego pamięć mgłą zapomnienia i obojętności. Przeciwnie, w ciągu tych krótkich dziesięciu lat swej działalności na terenie warszawskim zabłysnął on od razu jako jednostka dojrzała i nawskroś oryginalna i w żadnym wypadku nie może być uważany za postać nieznaną. Trudno by było raczej znaleźć w polskim życiu artystycznym okresie międzywojennego drugiego człowieka, który by potrafił, tak jak Miciński, skupić wokół siebie niemal wszystkie wybitniejsze jednostki twórcze tego okresu.

Zarówno dzięki swej wszechstronnej chłonności artystycznej jak też wyjątkowemu urokowi osobistemu zdołał on zbliżyć się do najwybitniejszych przedstawicieli starszego po-

kolenia z taką samą łatwością jak do najmłodszych swoich rówieśników, umiał znaleźć wspólny język z pisarzami i plastykami, muzykami i aktorami. Dzięki swej szczerości i lojalności, wyjątkowej w owym okresie zaciętych walk ideologicznych i podziemnych intryg między wrogimi klikami, cieszył się przyjaźnią ludzi z najbardziej zwalczających się obozów, nieraz stawał się jedynym łącznikiem między nimi. Już samo zestawienie nazwisk ludzi blisko zaprzyjaźnionych z Micińskim wskazuje na rozległość i ciężar gatunkowy jego stosunków, zwłaszcza iż były to przeważnie stosunki o wiele bliższe niż zwykłe znajomości. Najlichniesza jest oczywiście plejada pisarzy i poetów. Miciński znał osobiście prawie wszystkich literatów warszawskich; ograniczam się tu do wymienienia ludzi bliżej z nim zaprzyjaźnionych: Iwaszkiewicz, Parandowski, Wittlin, Stempowski, z młodszych Uniłowski, Czechowicz, Straszewicz, Sebyła, Gałczyński, Andrzejewski, Miłosz, Zawieyski. Plastycy: Przybylski, Józef Czapski, Pankiewicz, Brandel, Bielska, Muzycy: Szymanowski. Kondracki, Maciejewski, Małcużyński, Kranz, Palester, Szałowski, Spisak. Artyści dramatyczni: Jaracz, Perzanowska, Buczyńska, wielu najmłodszych. Filozofowie: Tatarkiewicz, ks. Jakubisiak, Jerzy Braun, Kroński, Stępniewski, Sobociński. Wreszcie, *last but not least*, St. I. Witkiewicz, którego trudno by było umieścić w jednej tylko z powyższych szufladek i którego przyjaźń, pełna zresztą starć, bardzo poważnie zaważyła na rozwoju Micińskiego. Cytuję te nazwiska z pamięci, to też zapewne lista nie jest pełna, ale już i te nazwiska, jakie wymieniłem, są wystarczająco wymowne. Ktokolwiek zna polskie życie kulturalne i polityczne w owym okresie, z trudem uwierzy w możliwość ugrupowania tych ludzi razem. Tym niemniej Miciński potrafił tego dokonać.

Ten liberalizm w doborze przyjaciół bynajmniej jednak nie świadczy o kompromisowości czy chwiejności światopoglądowej Micińskiego. Odznaczał się on raczej wystarczającym obiektywizmem, by ocenić ludzi wartościowych, nawet gdy różnili się od niego poglądami. Obdarzony był intuicją pozwalającą mu wyróżniać ludzi nieprzeciętnych. Do wielu z wymienionych wyżej przyjaciół zbliżył się w okresie, gdy

jeszcze nie reprezentowali, gdy byli nikomu nieznanymi debiutantami. I niemal nigdy się nie pomylił. Z chwilą gdy odczuł w kimś talent czy oryginalność umysłu, podziw jego przyjmował formę przyjaźni tak szczerzej i bezinteresownej, że znajdowała ona prawie zawsze oddźwięk. W przyjaźni tej był obiektywny. Dobrze widział przywary wybranych przez siebie przyjaciół, oceniał je nieraz surowo, ale umiał oddzielić je od tego, co w danym człowieku było wartościowe i godne podziwu.

Obiektywizm ten nigdy jednak nie graniczył z kompromisem. Gdy przyjaciele stawali się zbyt despotyczni i chcieli narzucać Micińskiemu postępowanie niezgodne z jego przekonaniem, dochodziło do zerwania przeważnie bardzo dla niego bolesnego. Wspomniałem już o licznych tarcich z Witkiewiczem, nieuniknionych wobec drażliwego i niezrównoważonego usposobienie twórcy „Nienasycenia”. Głośnie w swoim czasie były konflikty Micińskiego z Jerzym Braunem, z Uniłowskim, ze Stanisławem Piaseckim. Powstały one przeważnie na tle różnic ideowych, nigdy ze względów osobistych, i nie były dla Micińskiego równoznaczne z rezygnacją z przyjaźni. Występuje tu jeszcze jedna bardzo znamienita cecha jego charakteru: gdy się raz do kogoś przywiązał, pozostawał mu wierny. Nawet po zerwaniu, do którego był zmuszony okolicznościami, nawet po rozczarowaniu się w danym człowieku, nawet gdy dawny przyjaciel stawał się wrogiem, nie przestawał być Miciński do niego przywiązany.

W ten sposób stała się osoba Micińskiego jedną z soczewek, skupiających młodsze i żywotniejsze prądy artystyczne i myślowe w Polsce z lat 1930 — 1939. Obrócone w przynę w 1944 r. warszawskie mieszkanie Micińskich pozostaje dla niejednego symbolem tej epoki, bujnej i pełnej fermentu, epoki jeszcze tak niedawnej, a która minęła bezpowrotnie. (Jakżeż wielu spośród wymienionych wyżej ludzi już nie żyje, a wielu z nich radykalnie zmieniło swoje oblicze).

Tę samą wszechstronność, co w doborze przyjaciół, odnajdujemy w psychice Micińskiego. Czy był on filozofem, czy poetą, estetykiem czy esseistą? Literaci zarzucali mu zbytne obciążanie się balastem filozoficznym, filozofowie — zbyt li-

terackie traktowanie problemów. Nie spostrzegali, że w tym pozornym pomieszaniu dziedzin wypowiadał się cały człowiek, dla którego zarówno sztukak, jak filozofia były zbyt istotnymi sprawami osobistymi, by mógł on i chciał je szufladkować i sztucznie rozdzielać. Toteż w tych kilku uwagach wstępnych pragnąłbym mówić o Micińskim przede wszystkim jako o człowieku, nie tylko dlatego, iż jest to jedyne osobiście dla mnie możliwe ustosunkowanie się do pamięci najwierniejszego i najbardziej oddanego przyjaciela, jakiego spotkałem w życiu, lecz również dlatego, iż wszelkie sztuczne rozbijanie tej postaci na osobne przedziały, związane z różnymi dziedzinami jego działalności, było by zapoznawaniem najistotniejszych źródeł jego twórczości.



Przy takim ujęciu biografia Micińskiego, chociaż tragicznie krótka, staje się szczególnie ważna. Mimo iż nic w dzieciństwie Micińskiego, ani jego ówczesne zainteresowania, ani atmosfera domu rodzinnego nie zapowiadały jego późniejszej działalności, lata te, do których miał wielki sentyment, stanowią bardzo ważny czynnik w ukształtowaniu jego psychiki. Urodził się Bolek 23 kwietnia 1911 roku w pierwszy dzień Wielkiejnocy, w Mokrej, majątku Micińskich na Podolu. Spędził tam siedem pogodnych lat w typowej atmosferze polskich dworów kresowych, pełnej narodowych tradycji i rozmachu. Najbardziej barwną postacią we wspomnieniach Micińskiego z tego okresu był jego dziadek, który wybudował sobie wielki pałac i gromadził w nim rodzinę i przyjaciół „żeby po polsku mówić nie zapomnieli”. Do gościnnego domu ściągali ludzie z najdalszych okolic z Kaukazem i Syberią włącznie, do stołu zasiadało około 60 osób. Dominującą jednak osobą w tych wspomnieniach i przez całe życie był ojciec Micińskiego, człowiek po którym Bolek odziedziczył najpiękniejszą cechę swego charakteru — dobroć i delikatność. Dobroć pana Micińskiego znana była w całej okolicy. Gdy w 1917 roku zaczęły się na Ukrainie rozruchy i prześladowania ziemian, chłopci miejscowi z własnej inicjatywy wręczyli Miciń-

skim rodzaj glejtu, jedyny w swoim rodzaju dokument, w którym proszą władze rewolucyjne o wszelkie względy dla towarzysza Micińskiego, który chociaż jako „pomieszczyk” krew chłopską pił, „ale nie dużo”, szkoły budował, popów nie prześladował, owszem cerkiew postawił.

Mimo tak wyjątkowej sytuacji musiała jednak rodzina Micińskich podzielić los całego ziemiaństwa kresowego i po dłuższych tułaczkach z przygodami dotarła w 1919 roku do Polski i osiedliła się w Bydgoszczy, w mieście, które w owych latach sprawiało wrażenie jakiejś wyspy kresowej na Pomorzu. Opróżniona w dużym stopniu przez ludność niemiecką, stała się Bydgoszcz przytułkiem wszystkich rzesz Polaków, przybyłych z Podola i Kijowszczyzny, wytraconych z siodła, zrujnowanych, szukających nowych podstaw egzystencji, a znajdujących je tam łatwiej, niż gdzie indziej w Polsce.

Tam też wstępuje 9-letni Bolek do klasycznego gimnazjum z łaciną od pierwszej, a greką od trzeciej klasy. Przypadek napozór błahy, a jednak zdaniem samego Micińskiego jeden z najdonioślejszych w jego życiu. Greka bowiem okazała się dla niego nie nudnym i niepotrzebnym przedmiotem szkolnym, lecz bramą do nieprzeczuwanych skarbów piękna i fantazji. Bolek był bodaj jedynym chłopcem w szkole, który naprawdę umiał grekę i czytał Homera w oryginale. „Odysseja” stała się jego pierwszą miłością i miłości tej nie sprzenie- wierzył się do końca życia. Nie była jednak miłością jedyną. Umiał on w swym pełnym chłopięcego entuzjazmu sercu znaleźć równie poczesne miejsce dla innych arcydzieł, przy czym dobór ulubionych książek znowu wskazuje na niezmiernie wczesny rozwój. Już jako zupełnie mały chłopiec umiał na pamięć „Pana Tadeusza”, „Dziady” i „Nieboską Komedie”. Słowackiego natomiast nie znosił od dzieciństwa i nigdy się do niego nie przekonał.

Z tym wszystkim był on dzieckiem zupełnie normalnym, zapamiętałe grał w futbol, bawił się w Indian, polował na szczury i z takim samym zapalem, jak Homera, pochłaniał lekturę dzieciinną. Lekturze tej pozostał również wierny przez całe życie. W jego esseyach „Podróże do Piekieł” obok po-

staci Homerowych, obok Hioba, czy Kartezjusza, występują jako elementy równorzędne Robinson Crouzoe, bohaterowie powieści Karola Maya. Te bardzo nieoczekiwane skojarzenia mogły by wydawać się specjalnym chwytem pisarskim, obliczonym na zaskoczenie i mającym nadać esseyom posmak oryginalności były jednak u Micińskiego zupełnie spontaniczne i szczere. Po prostu sięgnął do postaci najbardziej umiłowanych, gdyż wchłoniętych przez świeżą wyobraźnię dziecięcą, dla której umieszczenie Winnetou obok Odyseusza, Eneasza, obok Robinsona było rzeczą zupełnie zrozumiałą. I mimo, iż skojarzeniom tym daje podbudowę psychologiczną, prowadzącą do głębokich wniosków natury ogólnej, nie tracą te skojarzenia nic ze swej świeżości, spontanicznie bowiem wpływają z naiwnie dziecięcego materiału wyobrażeniowego.

Tym nie mniej już w owym okresie nad czystą dziecięcą ciekawością zaczyna dominować wrażliwość na piękne sztuki. Pojawia się zamiłowanie do muzyki, początkowo raczej przypadkowe. Ojciec Bolka grywał na skrzypcach, w domu bywało dużo muzyków. Między innymi rodzina Micińskich była w przyjaźni z Szymanowskimi, z którymi sąsiadowali na Kresach i z którymi zetknęli się znowu w Bydgoszczy. Szymanowski dzielił wówczas los wszystkich kresowców, nie miał nawet fortepianu i pracował przy instrumencie, pożyczonym przez państwa Micińskich. I oto w owym czasie, kiedy jeszcze większość muzyków polskich nie wiele rozumiała z twórczości Szymanowskiego, Bolek wraz ze swą siostrą Nela, mającą równie wcześnie rozwiniętą wrażliwość artystyczną, chodzili podsłuchiwać, jak Szymanowski komponuje. Od tego czasu datuje się kult Micińskiego dla Szymanowskiego, któremu również nigdy się nie sprzeniewierzył.

W VI-ej klasie zamiłowania Bolka skryształizowały się ostatecznie; rzuca sporty i zabawy, pogrąża się całkowicie w studiach literatury antycznej. Zacztywuje się Platonem i pracami Tadeusza Zielińskiego. Spędza całe dnie w Bibliotece miejskiej, zaniedbuje inne przedmioty i w rezultacie ten najzdolniejszy uczeń w szkole zostaje na drugi rok w szóstej klasie. Wypadek ten, dosyć częsty, w życiorysach wybitnie uzdolnionych ludzi, miał zresztą dla Micińskiego skutki

raczej dodatnie. By uniknąć powtarzania klasy w tej samej szkole, przenoszą rodzicę Bolka do gimn. im. Rejtana w Warszawie. Trafia on tu w zupełnie inną atmosferę. W szkole ma inteligentniejszych kolegów, zaczyna równocześnie chodzić na uniwersyteckie wykłady prof. Zielińskiego, uczęszcza na wystawy malarskie, a zwłaszcza na koncerty symfoniczne, które odkrywają przed nim zupełnie nowy świat. W szybkim tempie wyróżnia się na nowym terenie. Zakłada w gimnazjum „kółko klasyczne”, wygłasza referaty o Grecji, po raz pierwszy próbuje sił na polu twórczym. Píše poemat dramatyczny „Achilleis” (1928), który ma zamiar wystawić przy pomocy kolegów amatorów. Projekt ten nie dochodzi jednak do skutku, gdyż nagle, niemal zupełnie niespodziewanie zapada Miciński ciężko na płuca i zostaje wywieziony do Zakopanego.

Katastrofa ta ma bardzo duże znaczenie w jego rozwoju. Po raz pierwszy przeżywa poważny wstrząs życiowy i odtąd już myśl o stale grożącej mu śmierci przewija się przez całą jego twórczość. W jednym z pierwszych swych wierszy myśl ta znajduje przejmujący wyraz:

„Zgasnę. Jutro wszechświat zamknięty w skrzyni trumiennęj
zakopią w zwałach żółtej gliny... Zgasnę, jak lampa zdmuch-
nięta, jak mlecz przekwitły, rozwiany wiatrem, opadnę na ze-
schłą żółtą trawę... Śmierć ścięła w źrenicach szeroko roz-
wartych szkliwem nieprzezroczystym białe gwiazdy płynące
po niebie... Niebo zastygło, w górze czerń, po której płyną
białe gwiazdy, a z dołu miedź rozdarta kolcem dzikiej róży
płacze kroplami skrze�łych głógów i ćmi czerwonym gwiezd-
nym kurzem w moje wilgotne oczodoły. I z ust, sklejoných
bryłą gliny, kwitnie płonącym krwawo krzewem rozdartej
wiatrem jarzębiny”.

Tym niemniej pobyt w Zakopanym nie jest okresem straconym. Styka się tam Miciński z wybitnymi przedstawicielami świata artystycznego, z Szymanowskim, ze Stanisławem I. Witkiewiczem, nawiązuje korespondencję z Paradowskim. Chociaż ma 18 lat i jeszcze nie ma matury, nie jest traktowa-

ny jako sztubak, lecz jako równorzędny partner rozmów i dyskusji, a niestety również pijackich zabaw.

W każdym razie po kuracji, która dała pomyślne wyniki, wraca do Warszawy już jako dojrzały człowiek i wchodzi w świat artystyczny. Razem z Uniłowskim debiutuje w 1931 r. wierszem o Św. Szymonie Słupniku w „Kwadrydze”, czasopiśmie redagowanym przez Władysława Sebełę. Zbliża się poprzez to pismo do warszawskiej awangardy poetyckiej. Równocześnie jednak nawiązuje stosunki z wybitnymi przedstawicielami starego pokolenia literackiego — Iwaszkiewiczem, Wittlinem, Czechowiczem. Poznaje prace estetyczne St. I. Witkiewicza i wraz z siostrą Nela, będącą zawsze wierną towarzyszką i powiernicą jego ideowych i artystycznych przeżyć, staje się entuzjastycznym zwolennikiem teorii „czystej formy”. Zmienia to zasadniczo jego stosunek do Witkacego. W Zakopanym nie bardzo go lubił, teraz jednak zachwyt dla idei, jak zresztą zawsze u Micińskiego, przyjmuje formę uwielbienia dla twórcy idei. Witkacy, wciąż jeszcze zwalczany i wyszydzany, akceptuje z radością nowego wielbiciela i obdarza o 26 lat młodszego Bolka szczerą, jakkolwiek bardzo kapryśną, despotyczną i nie uznającą sprzeciwu przyjaźnią.

W tych warunkach przygotowanie się do matury było dla Micińskiego jedynie dokuczliwym epizodem bez znaczenia. Po szczęśliwym załatwieniu tej nieistotnej formalności i otrzymaniu oficjalnego świadectwa dojrzałości, na które zasługiwał już znacznie wcześniej, rzuca się z zapalem w wir nowej działalności.

Poznałem go właśnie w tym okresie. Przyjaciół i krewny Micińskiego, młody filozof i poeta Jerzy Braun powziął w owym czasie zamiar założenia filozoficzno - literackiego pisma, mającego przeciwstawiać się „Wiadomościom Literackim”, dać możliwość swobodnego wypowiedzania się młodym talentom i wprowadzić świeży powiew w nieco zatęchłą atmosferę literacką owych lat. Debiutowałem w tym piśmie, noszącym nazwę „Zet”, artykułami o muzyce, Miciński objął dział krytyki literackiej, a poza tym zdobył współpracę Witkiewicza, Sebyły i kilku młodszych. Pamiętam burzliwe zebrania komitetu redakcyjnego. Głównym celem Brauna było

propagowanie i wyjaśnianie doktryny Hoene - Wrońskiego, nie wszyscy jednak współpracownicy „Zetu” chcieli czy umieli podporządkować się temu celowi, co stało się przyczyną licznych rozdzźwięków a po pewnym czasie doprowadziło do rozłamu. Miciński, Sebyła, Witkacy wystąpili z pisma, inni jak niżej podpisani pozostali, ale zachowali z Bolkiem serdeczne stosunki przyjacielskie. Jedynie między Braunem a Micińskim stosunki już nigdy nie uległy poprawie, a po kilku latach doszły do ostrego, bolesnego dla obu stron zerwania.

Od czasów znajomości z Bolkiem na gruncie „Zetu” stałem się częstym bywalcem domu Micińskich, niezmiennie serdecznie przyjęty przez całą rodzinę. Pamiętam jak dziś atmosferę pokoju przy Al. Trzeciego Maja, ze ścianami zawieszonymi portretami Bolka i Neli, zrobionymi przez Witkacego. Pamiętam owe zaciągające się do późnej nocy dyskusje na najrozmaitsze tematy artystyczne i filozoficzne, Nelę skuloną na tapczanie (właściwością jej było, że zawsze wołała pozycję leżącą od siedzącej), Bolka rozpartego z dobrotliwym uśmiechem przy biurku, upstrzonym niedokończonymi szkicami Witkacego i, ku utrapieniu Neli, strącającego popiół z fajki do jednej z szuflad biurka. Obowiązkowym punktem programu tych wieczornych posiedzeń był mój „koncert” na starym rozklekotanym pianinie z nokturnem Chopina i preludium Rachmaninowa dla papy Micińskiego, a zawsze tą samą sonatą Mozarta dla Bolka i Neli. Albo znowu szaleńcze przyjęcia, na które ściagała cyganeria artystyczna: głośny wówczas po wydaniu „Wspólnego pokoju” Uniłowski, milczący i uśmiechający się z dobrotliwym zażenowaniem Sebyła w towarzystwie nieodstępnej wielbicielki, wybitnej malarzki Bielskiej, świeżo odkryty talent kompozytorski Roman Maciejewski, Michał Kondracki, jako przedstawiciel starszego pokolenia kompozytorskiego, kilku aktorów z „Ateneum” Jaracza, paru głodnych malarzy przychodzących dokarmiać się do Micińskich. W tak dobranym towarzystwie zabawa przyjmowała nieraz formy napawające przerażeniem kilku zaproszonych przez rodzinę „przyswoitych” gości. Pamiętam, jak kiedyś podczas takiego przyjęcia, późno w nocy zjawił się półprzytomny Witkacy, zrobił w ciągu godziny kilka-

naście portretów obecnych gości, po czym zasiadł o czwartej rano do owego sławnego pianina i zaczął ku utrapieniu lokatorów improwizować fortissimo „Czystą Formę” muzyczną. W tej atmosferze, wśród rozhukanych a tak odrębnych indywidualności, Bolek zawsze pełen uroku, równie czarujący po wódce jak na trzeźwo, ze swym niezrównanym poczuciem humoru i umiejętnością ocenienia najbardziej ekscentrycznych sytuacji.

Wszystkie te młode talenty właściwie okropnie marnowały czas w potocznym rozumieniu tego słowa, wyładowywały energię znacznie bardziej w rozmowach, dyskusjach, zabawkach na miarę wyżej opisanej, niż w konkretnej pracy twórczej. Ale znajdowali w tym trybie życia ferment zapładniający ich talent, wzbogacający doświadczenie, pobudzający wyobraźnię. Nie wiele tworzy w tym okresie również Miciński. Jedynym rezultatem owych lat jest wydany w 1932 roku niewielki tomik wierszy „Chleb z Gethsemane”, głęboko przesiąkniętych duchem biblijnym i antycznymi reminiscencjami o formie świeżej, zdradzającej duży talent poetyckiego obrazowania, tomik wybitnie odbijający się klimatem i powagą od tego, co tworzy w owym czasie awangarda poetycka i od atmosfery, w której wówczas Miciński żyje.

Ale też jest to okres jego życia, w którym chłonie wrażenia i wiadomości, gromadzi materiał dla przyszłej twórczości niebardzo jeszcze wiedząc, jaką formę przybierze ta twórczość. Szuka zresztą tego materiału nie tylko w kontakcie z cyganerią artystyczną. Zapisuje się na Uniwersytet Warszawski na historię sztuki, lecz od razu więcej czasu i uwagi udziela seminarium prof. Tatarkiewicza, poświęconym w owym czasie zagadnieniom estetyki. Staje się w krótkim czasie filarem posiedzeń seminaryjnych i wyróżnia się, jako doskonały mówca. Interesuje się szczególnie problemem deformacji rzeczywistości w sztuce, broni namiętnie też Witkacego, ale niespostrzeżenie dla siebie samego znacznie rozszerza w toku niezliczonych dyskusji, swe poglądy i powoli oddala się od witkiewiczowskiej ortodoksji. Równocześnie skłania się coraz bardziej ku zagadnieniom ogólnie - filozoficznym. Stosunki jego z prof. Tatarkiewiczem tracą wkrótce charak-

ter oficjalny i nabierają cech przyjaźni. W dyskusjach seminaryjnych, przedłużanych przy szklance herbaty w znanej wszystkim warszawskim studentom filozofii kawiarence na-przeciwko pomnika Kopernika (zwanej przez nich „transcendentalną”) pozyskuje nowych przyjaciół, wśród których prze-ważają postacie nie mniej oryginalne niż artystyczni koledzy Micińskiego: robiący już wtedy doktorat Juliusz Kroński, je-dna ze sław wydziału filozoficznego, którego dodatkowym talentem było tak świetnie imitowanie sposobu mówienia war-szawskich filozofów, iż wkrótce nikt już nie wiedział, jak on sam mówi naprawdę, genialny wrocławski Jaropełk Stępniew-ski, o tak zawrotnym wirtuozostwie spekulatywnym, iż nie mógł zdać doktoratu, bo nie mógł znaleźć profesora zdolne-go zrozumieć i ocenić jego prace; Bolesław Sobociński, jeden z najwybitniejszych logistów polskich, człowiek powszechnie znany i lubiany w warszawskim świecie naukowym dzięki bardzo oryginalnemu wyglądowi i sposobowi bycia, połączo-nemu z wielkim urokiem osobistym. Wyróżnia ich Miciński za niezwykłość umysłu i wyraźnie podkreśloną indywidual-ność, mimo iż nie podziela ich poglądów. Stroni od modnej w Warszawie logistyki lub szkoły prof. Kotaarbińskiego, jak również od psychologii eksperymentalnej. Pociąga go raczej historia filozofii, dająca możliwość zetknięcia się nie tylko z doktrynami, ale i z indywidualnościami wielkich filozofów. Już wtedy interesuje go bardziej człowiek jako całość niż o-derwane doktryny.

Zbliża się w owym czasie z Jerzym Stempowskim i za-pewne pod wpływem tego ostatniego skłania się ku meto-dzie rozważania problemów z perspektywy jaknajogólniej-szej, uwzględniającej tło i epokę, nawiązującej filozofię do ogólnych zjawisk kulturalnych i socjologicznych, biorących pod uwagę nie raz nawet najbardziej błahe fakty i akcesoria. Stąd też były tak żywe, barwne i świeże odczyty Micińskiego na uniwersytecie i jego artykuły, pełne nieoczekiwanych sko-jarzeń, częstokroć bardziej sugestywnych niż zmudne docie-kania naukowe.

Artykuły te są coraz bardziej cenione i poszukiwane. W owym okresie walk ideowych prawie wszystkie pisma literac-

ko-kulturalne mają zdecydowane oblicze polityczne. Miciński miał zbyt uniwersalistyczne nastawienie, by odpowiadało mu wiązanie się z jakąkolwiek wyraźnie zabarwioną grupą polityczną. Szuka raczej możliwości swobodnego wypowiadania się, nie znosi narzucania sobie tendencji i taktyki. Z tych też względów nie jest zdolny do zbliżenia się do grupy „Wiadomości Literackich” mimo iż ma wśród skamandrytów wielu osobistych przyjaciół. W 1933 r. daje do „Wiadomości” artykuł o „Deformacji rzeczywistości w sztuce”, artykuł ten pojawia się jednak w formie tak zniekształconej, pozbawionej najistotniejszych partií, iż odtąd Miciński już nigdy nie więcej w „Wiadomościach” nie ogłaszał. Zbliża się natomiast do Stanisława Piaseckiego, który zaczyna w owym okresie wydawać jedyne pismo literacko - naukowe zdolne do wytrzymania konkurencji „Wiadomości”: „Prosto z mostu”. Mimo iż „Prosto z mostu” miało bardzo wyraźnie określone oblicze polityczne, potrafił Piasecki zgromadzić w nim wiele młodych talentów, dobieranych niekoniecznie według klucza światopoglądowego i zostawił im dużą swobodę wypowiadania się nigdy nie nie „obcinając” samowolnie. Krytyki literackie i esseye Micińskiego w „Prosto z mostu” należy zaliczyć do najlepszych jego artykułów. Niektóre z nich miały duży odźwięk jak np. bardzo piękna recenzja o krążących wówczas w maszynopisie wierszach Konstantego I. Gałczyńskiego, która była pierwszym poważnym omówieniem twórczości tego wybitnego poety i sprowokowała Piaseckiego do wydania tomiku Gałczyńskiego. Poprzez „Prosto z Mostu” — było to już drugie z kolei pismo, w którym razem pracowaliśmy — nawiązał Miciński szereg nowych znajomości i przyjaźni: z Gałczyńskim, Andrzejewskim, Straszewiczem, Mosdorfem, antropologiem Żejmo-Żejmisem.

W latach 1933/34 jest Miciński już dużym autorytetem na gruncie warszawskim, wychodzi z okresu nurzania się w szaleństwach cyganerii artystycznej, dojrzewa i uspakaja się wewnętrznie. Wyzwala się spod dezorganizującego psychicznie wpływu Witkiewicza zaczyna prowadzić bardziej uregulowany tryb życia, do czego przyczynia się również zawarte w 1936 r. małżeństwo z kuzynką, w której znajduje od-

daną towarzyszkę życia i pomocnicę na drodze twórczej. Teraz dopiero zaczyna okres zużytkowania, zarówno na polu literackim jak naukowym, doświadczeń zgromadzonych podczas owych nieco wariackich lat „burzy i naporu”. Wykańcza rozprawę magisterską poświęconą zagadnieniu deformacji rzeczywistości w sztuce i zostaje w 1937 r. magistrem filozofii. Pracą tą zamyka niejako okres swego życia, w którym dominowały zagadnienia estetyczne. Odtąd zainteresowania jego idą w nieco innym kierunku. Wydaje pierwszy swój poważniejszy utwór literacki, zbiór esseyów p.t. „Podróże do Piekieł”. Nie zrywa wprawdzie z filozofią. Zaczyna pracować nad rozprawą doktorską o systemie filozoficznym Wiktora Cousin i w celu pogłębienia studiów wyjeżdża na półroczny pobyt do Grenoble, pociągnięty osobą Jacques Chevalier, profesora tamtejszego uniwersytetu oraz warunkami klimatycznymi, obiecującymi możliwość poprawienia zdrowia, które zaczyna znowu szwankować. Pobyt w Grenoble nie przynosi mu jednak oczekiwanej poprawy, nie daje mu również satysfakcji praca nad tematem narzuconym przez prof. Tatarkiewicza, a nie odpowiadającym Micińskiemu psychicznie. Toteż wkrótce wyjeżdża do Paryża, ale i tam nie tyle zajmuje się poszukiwaniem materiałów do pracy doktorskiej, ile pogrąża się w chłonięciu skarbów sztuki, zdobywając nieocenionego przewodnika po Louvrze w osobie Pankiewicza. Przyjaźni się również z Konstantym Brandlem, jednym z wybitniejszych a zbyt mało znanych malarzy polskich, stale przebywającym w Paryżu. Zapada znowu ciężko na zdrowiu. Z depresji moralnej ratuje go kontakt z ks. Augustynem Jakubisiakiem, którego wpływ na światopogląd filozoficzny Micińskiego jest odtąd bardzo wyraźny. Powraca do zdrowia w Bretanii, którą uważa za „najpiękniejszy kraj na świecie” i pełen nowych sił wraca do Warszawy.

W okresie tym następuje zerwanie Micińskiego z Piaseckim, bardzo przykre dla obu stron. Wobec ostrego zaognienia walk politycznych, pragnął Miciński już dawniej wycofać się z „Prosto z Mostu”, nie chcąc brać odpowiedzialności za linię ideową pisma. Wobec szacunku i przyjaźni osobistej

do Piaseckiego, zamierzał zrobić to jaknajdelikatniej, niestety na skutek niedyskrecji i nietaktu jednego z przyjaciół, rozdzwięk ten stał się głośny, zerwanie było nieuniknione i nabrało posmaku skandalu.

W 1938 roku zostaje Miciński asystentem prof. Tatar-kiewicza i równocześnie wykłada propedeutykę filozofii w trzech szkołach średnich. Wykazuje na tych stanowiskach wielki talent pedagogiczny i zdobywa miłość swych słuchaczy. Odznaczał się on darem niezwykle żywego, wnikliwego, pełnego sugestijnych i dowcipnych zestawień wykładu, opromienionego przy tym dobrotną troską o umysł ucznia i o ułatwienie mu wysiłku myślowego. Wykłady te jednak zbyt go męczą, to też z radością przyjmuje w 1939 roku nominację na stanowisko kierownika działu literackiego w Radio Warszawskim. Znajduje tu najbardziej odpowiednie pole do pracy, wprowadza szereg szczęśliwych inowacji i przyczynia się do wybitnego ożywienia i pogłębienia radiowych emisji literackich. Na stanowisku tym застаје go wybuch wojny. Razem z niedobitkami radiowymi odbywa wędrówkę wrześniową i po wielu przygodach dostaje się z żoną w końcu 1939 r. poprzez Litwę i Szwecję samolotem do Paryża. Spotyka się tam z siostrą Nela, która odbyła okólną wędrówkę drogą południową.

Już podczas wędrówki wrześniowej następuje nawrót choroby zaostrzony jeszcze przez wstrząs moralny, wywołany klęską. Warunki emigracyjnego bytowania w Paryżu nie sprzyjają kuracji. Nieoczekiwany ratunek przychodzi ze strony przyjaciół Kranców, którzy zapraszają całą rodzinę do swej posiadłości we Francji. Dzięki ich troskliwej opiece następuje powolna poprawa w stanie fizycznym Micińskiego, niestety katastrofa 1940 roku i ponowna wędrówka przez całą Francję marnują wszystkie owoce ciężko osiągniętej rekonwalescencji. Gdy ostatecznie osiada Miciński w Grenoble, jednym z liczniejszych ówczesnych skupisk emigracji polskiej, jest już człowiekiem śmiertelnie chorym. Przeniesienie się do miejscowości górskiej pod Grenoble pozwala tylko prowizorycznie podreperować jego stan. W świadomości, iż już nie wiele życia ma przed sobą, jeszcze

raz zrywa się do pracy twórczej, tak jak gdyby starał się zamknąć bilans swego życia. Wygłasza dla skupiska polskiego w Grenoble szereg odczytów, w których słyhać już głos człowieka świadomego bliskiej śmierci. Poświęca te odczyty sprawom aktualnym, wojnie, polityce, ale rozpatruje je już „sub specie aeternitatis”. Stara się utrwalić epokę, z którą był tak bardzo związany, i o której wie, że się zakończyła bezpowrotnie. Zamierzał dać cykl odczytów o zmarłych przyjaciółach. Zdążył poświęcić jedynie dwa głęboko odczuwane wspomnienia Szymanowskiemu i Witkiewiczowi, którego śmierć samobójcza w 1939 roku podziałała na niego wstrząsająco. Wraca również do ukochanych tematów młodości, skąd szkic o Julianie Apostacie. Najwybitniejszym jednak dziełem tych lat jest „Portret Kanta”, wygłoszony najpierw jako odczyt, powielony później, jeszcze w Grenoble, w formie broszury.

Choroba jednak czyni nieubłagane postępy i życie nie oszczędza ciosów. Nawiązuje wprawdzie łączność korespondencyjną z rodzicami w Kraju, ale dochodzą go wciąż nowe wiadomości o śmierci najbliższych przyjaciół. Obawa zarażenia chorobą najukochańszej córeczki zmusza go do odseparowania się od niej, co odczuwa bardzo boleśnie. Najsmutniejszym jest może jednak, iż zaczyna odczuwać osłabienie sił twórczych i umysłowych. Znajduje pociechę w religii, do której był głęboko przywiązany przez całe życie. W poczuciu tym umacnia go obecny przy nim do ostatniej chwili ks. Jakubisiak. Dogorywa powoli i wyzwala jąca go z cierpienia śmierć przychodzi dopiero 30 maja 1943 roku.



Ten czysto zewnętrzny opis działalności Micińskiego nie daje jednak istotnego obrazu jego rozwoju duchowego, nie pokrywa się z zasadniczymi etapami tego rozwoju. Dadzą się one łatwo wyróżnić, pamiętać jednak należy, że każdy nowy etap nie oznacza zerwania z etapem poprzednim. W swych zainteresowaniach i zamiłowaniach odznaczał się Miciński tą samą wiernością, co w stosunku do swych przyja-

ciół. Gdy raz się do pewnego problemu, dzieła czy postaci przywiązał, pozostawał im wierny do końca, zamiłowania jego nie były bowiem nigdy powierzchowne, lecz nosiły cechy prawdziwego kultu. Przy swej ogromnej chłonności szybko rozszerzał horyzonty, wzbogacał swój bagaż ideowy, ale lubił go rzutować zawsze na to samo tło, konkretyzować na tych samych postaciach. Jeszcze jako dziecko pasjonował się postacią Juliana Apostaty, poznanej zdaje się, z powieści Mereżkowskiego. Podchodził do tej postaci z najrozmaitszych punktów widzenia. W okresie bliskich kontaktów z Jaraczem i „Ateneum”, zamierzał napisać dramat o Apostacie, ale skończyło się na krótkim fragmencie. Postać Juliana odnajdujemy w esseyach „Podróże do Piekieł”, a ostatnią przedśmiertną pracą Micińskiego był szkic esseyu specjalnie poświęcony tragicznej postaci tego cesarza rzymskiego. W muzyce z pasją niemal wielbił Bacha, zwłaszcza kilka utworów najbardziej umiłowanych. Potrafił wyjść w połowie koncertu, by po usłyszeniu Bacha nie zakłócać wrażenia słuchaniem innej muzyki, chociażby najlepszej. W malarstwie obdarzał podobną miłością Rembrandta, w architekturze barok, w szczególności umiłowany przez siebie kościół Św. Piotra i Pawła w Wilnie. Pamiętam, iż ta ekskluzywność nieraz mnie drażniła, gdyż w owym okresie sam przeżywałem manię chłonięcia jaknajwiększej ilości jak najróżnorodniejszych wrażeń. Teraz rozumiem, iż nie było to u Micińskiego ograniczeniem zdolności recepcyjnych, lecz potrzebą wyboru. Nie chciał chłonać wszystkich wrażeń, byleby były nowe, lecz szukał wartości, do których mógłby się przywiązać na całe życie, które mógłby naprawdę pokochać. Owo uporeczywe nawracanie do tych samych motywów nie nadawało jednak jego twórczości cech monotonii, gdyż z przedziwną zdolnością do skojarzeń, umiał wydobywać z każdego tematu wciąż nowe wartości, łączyć motywy w inne za każdym razem kombinacje, nadawać im nieoczekiwane i świeże naświetlenia.

Gdy się pamięta o tej zasadniczej właściwości psychiki Micińskiego, łatwiej jest wykryć nić przewodnią w kapryśnej na pozór linii rozwojowej jego twórczości. Pierwszą jego

miłością duchową była, jak już wspomniałem, kultura antyczna, ujmowana przez pryzmat prac Tadeusza Zielińskiego. W latach szkolnych zdaje się pograżać wyłącznie w tym świecie i w tym też kierunku idą jego pierwsze próby twórcze. Wiążą się one już od początku z bardzo żywą i przez całe życie bardzo intensywną religijnością Micińskiego, czego wyrazem są pierwsze jego poezje wydane w tomiku „Chleb z Gethsemane”. Tę antyczno - biblijną syntezę ułatwiało niewątpliwie odczuwanie kultury greckiej w duchu Tadeusza Zielińskiego.

Zamiłowanie do antyku poza przywiązaniem do świata wyobrazeniowego Odyseji i Eneidy lub do postaci Juliana Apostaty, miało jeszcze jeden bardzo istotny wpływ na ukształtowanie się psychiki Micińskiego. Zdecydowało o jego wyraźnej predylekcji do klasycyzmu w sztuce. Zdawało by się, iż pomiędzy niezmiernie wrażliwym i uczuciowym usposobieniem Micińskiego, pomiędzy głęboko osobistym, emocjonalnym przeżywaniem sztuki a obiektami jego miłości artystycznej zachodzi uderzająca rozbieżność. Głęboko się wzruszał właśnie Homerem, Mickiewiczem, Bachem, sztuką spokojną, klarowną i doskonałą w formie, pozostawał natomiast obojętny wobec dzieł romantycznych, stawiających ekspresję i wartości emocjonalne ponad piękno. W postawie tej nie należy doszukiwać się datujących z późniejszego okresu życiowego wpływów teorii „czystej formy” Witkiewicza. Wręcz przeciwnie, Witkacy przy całej swej programowo-teoretycznej wrogości do wszelkiej „bebechowanej” sztuki, był osobiście typowym przedstawicielem młodo-polskiego sentymentalizmu, z całym jego pesymistycznym ekshibicjonizmem, lękiem przed „dziwnością istnienia” i traktowaniem sztuki jako ucieczki przed tym lękiem. Tymczasem Miciński szukał w sztuce czystej „katharsis”, czystego i beznamietnego piękna, wolnego od zgrywania się i wyładowywania się. I tylko taką sztukę kochał. Ale kochał ją w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Nie było w nim nic z typowej dla doby obecnej kolekcjonerskiej postawy wobec wrażeń artystycznych. Miał poczucie ważności przeżyć, jakie mu dawała sztuka i miał szacunek dla tych przeżyć. Je-

go predylekcje klasycystyczne objawiły się już znacznie wcześniej, niż znajomość teorii witkiewiczowskiej. Wyrażały się już w dzieciństwie w uwielbieniu dla „Pana Tadeusza” i niechęci do Słowackiego.

Okres „witkacomanii” był więc u niego nie przyczyną, lecz skutkiem zamiłowań klasycystycznych. W teorii „czystej formy” znalazł Miciński uzasadnienie tego, co odczuł instynktownie już przedtem. W tym drugim „estetycznym” etapie swego rozwoju interesuje się on sztuką przede wszystkim od strony teoretycznej. Jak już wspomniałem, od ortodoksji witkiewiczowskiej (artykuły i recenzje w „Zecie”) przechodzi do wytworzenia szerszego i mniej dogmatycznego światopola estetycznego, któremu wyraz ostateczny daje w pracy magisterskiej.

Równolegle z tą pracą dąży do sprecyzowania swej postawy ogólnofilozoficznej, co można uznać za etap trzeci. Poddany jest w tym czasie licznym i różnorodnym wpływom: z jednej strony metafizyczne spekulacje wrocławskich, sprowadzających całość rzeczywistości do olbrzymiego rusztowania precyzyjnie powiązanych pojęć, z drugiej strony narzucone mu przez Krońskiego i częściowo przez Witkiewicza koncepcje nowoczesnego psychologizmu lub fenomenologizmu. Zachowuje się jednak dość opornie wobec tych sugestii. Początkowo jednak uświadamia sobie coraz wyraźniej, iż nie do przyjęcia jest dla niego zastępowanie bezpośrednio odczuwalnej rzeczywistości przez sztuczne konstrukcje pojęciowe. Pamiętam znamienne rozmowę telefoniczną z Bolkiem, gdy biadał, iż filozofowie, z którymi się styka, operują abstrakcyjnymi formułami spekulatywnymi, lub grą oderwanych jakości, całym rusztowaniem zastępczych wartości i w tym intelektualizowaniu rzeczywistości tracą bezpośredni kontakt z nią, nie są zdolni do odczuwania radości z przeżywania świata, który nas otacza. Jak sam mówił: „nie chcę tracić piękna poranku na wsi na rzecz kompleksu jakości czy gry pojęć”. Nie może pogodzić się z filozofią jako metodą ujmowania jedynie formy rzeczywistości i niezdolnej do odczucia samej treści istnienia.

W ten sposób problem rzeczywistości pojmowanej jako treść naszych doznań staje się coraz bardziej centralnym zagadnieniem jego zainteresowań. Zwraca się do studiów nad psychoanalizą, szukając w niej wytłumaczenia owej charakterystycznej ucieczki od rzeczywistości. Po rozważeniu problemu celowej deformacji w sztuce, przechodzi konsekwentnie do zagadnienia mimowolnego zniekształcenia rzeczywistości przez zamiłowanie do abstrahowania, do transponowania istnienia na system rzeczywistości fikcyjnych. W znanym artykule o psychoanalizie, ogłoszonym w „Verbum” (1937) i wydanym jako osobna broszura pt. „O podstawach filozoficznych psychoanalizy” daje Miciński niezmiernie wnikliwą krytykę tej modnej metody psychologicznej, wykrywa jej bardzo interesujące związki z koncepcjami Maine de Biran’a o percepcjach niejasnych lub leibnitzowską teorią nieświadomego życia psychicznego, zakreśla ramy psychoanalizy niesłusznie przekraczane przez uczniów Freuda i wskazuje na perspektywy metafizyczne tej teorii.

Ta jedyna wydana naukowa rozprawa Micińskiego jest negatywnym załatwieniem problemu, który go nurtuje, wykrywa przyczyny zaniku poczucia rzeczywistości. Pozytywne opracowanie zagadnienia wymagało innych form. Wszelkie ujmowanie problemu w ramach analizy naukowej byłoby tworzeniem nowych formułek pojęciowych, nowej rzeczywistości zastępczej, co właśnie Miciński zwalczał. Należało do tego celu znaleźć inny sposób wypowiedzi, który nie prowadził by do sztucznego rozbijania istnienia na zamknięte dla siebie światy wrażeń, uczuć, myśli.

Rozwiązanie znajduje Miciński w formie esseyu, która pozwala mu połączyć w harmonijną syntezę jego zainteresowania filozoficzne z talentem literackim. Ten czwarty etap (chronologicznie zazębiający się o etap trzeci) jest w jego rozwoju wyrazem znalezienia własnej, pełnej i dojrzałej formy wypowiedzi. Pozwala ona na połączenie w jedną całość wszystkich dotychczasowych zainteresowań, na życiową syntezę wcześniejszych prób. To też od razu w pierwszym dziele nowego stylu, w zbiorze esseyów

„Podróże do Piekieł (1937) odnajdujemy wszystkie umiłowane tematy i postacie Micińskiego: bohaterów antycznych i Hioba, Robinsona i Winnetou, Marco Polo i Columba, Descartes'a i Pickwicka. Ale na to wszystko patrzy Miciński już z innego punktu widzenia. Na tle barwnie i z niezwykłym urokiem przedstawionych postaci, rozpatruje ciągle ten sam problem tajemnicy osobowości ludzkiej i deformacji rzeczywistości, wynikającej z podświadomego niepokoju i lęku przed tą rzeczywistością. Mamy tu dosłowne podróże do piekła Odysseusza i Eneasza i podróże w przenośni: pobyt Pickwicka w piekle więzienia za długi, włóczęgostwo gnanego niepokojem Robinsona, słynne sny młodego Descartes'a, w których filozof pogrąża się w piekło konfliktu moralnego. W istocie swej są to jednak wszystko podróże do otchłani osobowości ludzkiej.

Zagadnienie zanalizowane naukowo w omówionej wyżej broszurze o psychonalizie jest tu potraktowane pozytywnie, przy pomocy metody, w której skojarzenia obrazów i tematów działają bardziej bezpośrednio i sugestywnie, niż argumenty rozumowe. Zamiast metody analityczno - naukowej, posługuje się Miciński syntezą artystyczną, transponuje idee i najbardziej abstrakcyjne koncepcje na obrazy i postacie, nie operuje jednak tymi elementami jako symbolami, lecz traktuje je jako bezpośrednie ucieleśnienie idei. Znajduje w tym wyraz miłość do życia, do rzeczywistości konkretnej. Idee te zbyt głęboko i zbyt osobiście, całą pełnią osobowości przeżywał Miciński, by chciał je wyłuskiwać z życia, odrywać od tego, w czym się najpełniej przejawiały i przedstawiać w formie suchych i martwych formułek.

Podobna metoda „artystycznego filozofowania” wymaga od czytelnika niewątpliwie dużej wrażliwości i umiejętności współtwórczego wyczuwania prawd, których Miciński nie wypowiada wprost. To też „Podróże do Piekieł” wywołały sporo nieporozumień. Wielu czytelników nie rozumiało, o co Micińskiemu właściwie chodzi. Czy jest to filozofia, czy nieodpowiedzialne bawienie się w oryginalne zestawienia, płytkie estetyzowane? Skojarzenia elementów „Podróży do

Piekiel" mogą się wydać chaotyczne i przypadkowe. Cóż wspólnego mogą mieć postacie Robinsona i Hioba, Odysseusza, Pickwicka i Descartes'a? Istotnie, zamiast tych osób mógłby Miciński z równym powodzeniem posłużyć się innymi postaciami, jako tłem dla swoich rozważań. Ale nie było w tym przypadkowości. Po prostu dla wyrażenia najbardziej drogich mu idei posłużył się postaciami, które były dla niego najbardziej drogie od dzieciństwa. Nie chciał oddzielać przeżyć dziecińczych od przeżyć dojrzałych, w których wchłonał szereg nowych obrazów i postaci. Wierny swym zamiłowaniom, nie pozwolił nowym przybyšsom wypchnąć dawnych ukochanych obrazów. I w tym tkwi tajemnica uroku tych esseyów, ich świeżość i barwność, proteuszowska wielokształtność, poprzez mozaikę najróżnorodniejszych elementów sugerująca jedność rzeczywistości. Nie sprowadza Miciński tej jedności do abstrakcyjnej formuły, wydobywa ją bezpośrednio ze skojarzeń elementów na pozór jak najbardziej odmiennych.

Osiąga w ten sposób jedyną w swoim rodzaju syntezę filozofii ze sztuką: snuje rozważania filozoficzne na materiale nieraz zupełnie naiwnym, jak postacie Karola May'a, z drugiej strony czyni elementami kompozycji artystycznej filozoficzne pojęcia czasu, przestrzeni, wolności woli, poczucia rzeczywistości itd.

Jeżeli „Podróże do Piekiel" mogły jeszcze pozostawiać wątpliwości co do istotnych celów autora, wątpliwości te rozwiewa jego praca przedśmiertna „Portret Kanta". Nie będę usiłował rywalizować ze świetną analizą tego esseyu, dokonaną przez ks. Jakubisiaka. Chcę tylko zwrócić uwagę na parę aspektów, dzięki którym szkic ten należy uznać za jedną z oryginalniejszych książek w nowszej literaturze polskiej. Nie jest to ani przyczynek do biografii Kanta, ani jeszcze jedna analiza filozoficzna doktryny. Jest to raczej próba bezpośredniego przedstawienia kantyizmu, na tle postaci mędrca królewskiego w ostatnich latach jego życia. Nie spotkamy w tym szkicu żadnych typowych dla doktryny terminów, ani rozróżniania numenów i fenomenów, ani „rzeczy samej w sobie" ani imperatywu kategorycznego. Dok-

tryna ta, jedna z bardziej abstrakcyjnych teorii filozofii, jest tu przetrasponowana na obraz malarzski, w dodatku wyrażony literackimi środkami. Przedsięwzięcie niewątpliwie bardzo śmiało. Nie mniej śmiały jest pomysł uczynienia z tak bezbarwnej i monotonnej zewnętrznie postaci, jak Kant, tematu dzieła literackiego. Oba te krzyżujące się zadania — filozoficzne i artystyczne — rozwiązał Miciński z niezwykłą subtelnością i taktem.

Gdy pierwsze egzemplarze „Portretu Kanta” dotarły w drodze konspiracyjnej z Francji do Polski nie wszyscy pojęli prawdziwą oryginalność utworu. Padły znowu zarzuty, iż jest to zwykłe estetyzowanie. Zarzut jak najbardziej niesprawiedliwy. Jak można posądzić o estetyzowanie człowieka, dla którego sztuka była najpełniejszym i najuczciwszym wyrażeniem idei światopoglądowych, który nienawidził wszelkiego zimnego bawienia się elementami artystycznymi, odnawiania i zużytkowywania nieśmiertelnych arcydzieł dla sensacji i nie mógł darować Cocteau, iż przerabia Sofoklesa, iż „rysuje krzywymi liniami kolumny greckie”. Elementy artystyczne, którymi posługuje się Miciński w nieoczekiwanych skrótach i skojarzeniach, nie są dla niego w „Portrecie Kanta” żadną ozdobą, żadnym efektem. Mają wartość same w sobie, stosuje on je z tym samym pietyzmem, z jakim traktuje główny temat pracy. A tym tematem jest, jak zawsze, rzeczywistość w oglądzie bezpośrednim.

Nie wiemy, jakimi drogami poszedł by rozwój Micińskiego, gdyby rozwój ten nie został przecięty tak wcześnie przez nieubłaganą śmierć. Ale to, co nam pozostawił, jest już pięknym, szlachetnym i prawdziwie oryginalnym osiągnięciem artystycznym. Jeśli chodzi o stronę filozoficzną, nie dał Miciński żadnej doktryny, żadnego systemu i nie mógł go dać, skoro celowo odwracał się od przedstawiania najistotniejszych zagadnień w formie dyskursywnej. A najbogatsza nawet wyobraźnia i najbardziej głębokie przeżywanie tych problemów nie mogą wyjść poza szkicowe i fragmentaryczne sugestie. Rezygnując jednak ze sztywnych ram pojęciowych, zdołał osiągnąć Miciński niezwykłą intensywność w wyrażeniu tego, co go najgłębiej obchodziło. Nie dał i nie

próbował dać klucza do rzeczywistości, ale potrafił z wielkim talentem p o k a z a ć tę rzeczywistość zarówno od strony zewnętrznej, świata wyobrażeń, jak od strony najistotniejszych przeżyć wewnętrznych. I potrafił opromienić ten obraz światłem osobistej dobroci i szlachetności.

Przez całe życie bronił się przed pokusą stworzenia sobie rzeczywistości fikcyjnej, przed ucieczką od rzeczywistości, bronił się nawet kosztem rezygnacji z w y j a ś n i e n i a rzeczywistości autentycznej. Chciał ją przynajmniej umieć odczuć. Tragiczny los zdawał się odbierać mu i tę ostatnią możliwość, gdy wskutek choroby coraz częściej tracił przytomność. Nie ustał jednak w walce do ostatniej chwili życia. W dniu, gdy dogrywał w małej miejscowości alpejskiej Laffrey, przyszedł list od jego matki z Warszawy. W trakcie czytania tego listu przez żonę, zaczął Miciński tracić przytomność. Spostrzegłszy to Nela ścisnęła go mocno za ramię. Otworzył oczy i powiedział: „Merci, tu me ramene à la réalité” — i dodał cicho: „Bo nie ma nic nad rzeczywistość”. To były jego ostatnie słowa.

KONSTANTY REGAMEY

S Ł O W O W S T Ę P N E

X. A. J A K U B I S I A K A

Bolesława Micińskiego spotkałem po raz pierwszy na odczycie moim w roku 1938 w Bibliotece Polskiej w Paryżu. W odczycie tym, zatytułowanym: *La déformation du réel par le formalisme intellectuel*, występowałem ostro przeciw modnej, zwłaszcza u nas w Polsce, i, moim zdaniem, wysoce szkodliwej dla rozwoju myśli tendencji filozoficznej, ograniczającej treść wypowiedzi ludzkich, sztucznymi, *ad hoc* wymyślonymi wymaganiami formy. Wiedząc, jak duże powodzenie miały w naszych uniwersytetach prądy filozoficzne, wyrażające powyższą tendencję — takie jak logistyka, empiryzm logiczny, neo-pozytywizm — byłem wielce zdziwiony wrogim do nich stosunkiem świeżego absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego, jakim był wówczas Bolesław Miciński. „Litera usiłuje zabić ducha — ”, powiedział mi on wówczas, wykazując głębokie zrozumienie tej „nowej”, rze-komą naukowością okrywającej się filozofii.

W Polsce spotkałem się z Micińskim na wiosnę w roku 1939. Miało to miejsce również na odczycie moim, wygłoszonym w Akademii Literatury w Warszawie. Odczyt ten pod tytułem: „*W obronie jednostki*” wskazywał na zbliżające się niebezpieczeństwo totalizmu. Choć niebezpieczeństwo to, po świeżym zaborze Czech stawało się już oczywiste wówczas, wywody moje wywołały ostry sprzeciw ze strony przedstawicieli pewnych kół młodzieży, broniących zaciekle totalizmu. W dyskusji tej zabrał głos Miciński. Mówił *ex promptu*, ale tak przekonywująco, o głębokim znaczeniu życia każdej jednostki, o nieznanym zasobach jej jestestwa i o jej absolutnej wyższości ponad wszystkie razem wzięte abstrakcje myślowe, że porwał całą salę, która gorąco przyklasnęła tezie po chrześcijańsku pojmowanego indywiduali-

zmu, przechodząc do porządku dziennego nad zarzutami totalistów.

W osiem miesięcy potem spotkałem znowu Micińskiego w Paryżu, ale jak zmienionego! Wypadki wrześnieowe, przeżywane naprzód w Warszawie, a potem na Kresach, gdzie danym mu było widzieć grozę wojny, rozłąka z rodzicami i wyjazd z kraju, z którego pozostała mu wizja pożogi i zniszczenia — wszystko to tak głęboko wstrząsnęło psychiką Micińskiego, że odbiło się to na zdrowiu jego ciała. Odnowiły się ogniska choroby płuc, które przedtem uważano za zagojone. Duchem jednak Miciński nie był złamany. Tragedia Polski i powrót choroby nie stłumiły w nim a ożywiły pragnienie swojego czynu, wyrażającego najlepsze możliwości jego jestestwa.

Czyn ten — natury umysłowo - duchowej, wyobrażał sobie Miciński w postaci szeregu prac filozoficznych, rozwijających głównie rysy jego poglądu na rzeczywistość. Dwa szczególnie zagadnienia pragnął on przede wszystkim opracować. Pierwsze z nich dotyczyło badania wnętrza ludzkiego — wnętrza jednostki, o którego tajniach tak wymownie mówił w Akademii Literatury w Warszawie. Jak to wewnątrz przejrzeć aż do głębi nie posiłkując się jedynie niezawodną, gdy chodzi o nas samych, ale niewystarczającą, jeżeli chodzi o innych ludzi, metodą introspekcji? — Odpowiedź na to pytanie nasunęła Micińskiemu jedność życia w człowieku. Jedność ta nie dopuszcza, by dzielić życie ludzkie na zamknięte kompartymenty, z których jeden miałby być zarezerwowany dla spraw umysłowych, inny dla spraw woli lub serca, inny zaś dla reszty spraw życia, jak stosunek do ludzi i do otaczającej nas przyrody. Podobnie jak Cuvier na podstawie jednej kości przedpotopowego zwierzęcia odtwarzał cały jego kształt, tak też z najbardziej drobnych przejawów życia zewnętrznego danej jednostki można się domysleć zasadniczej postawy ducha.

Z zagadnieniem tym, które można nazwać zagadnieniem treści, łączyło się u Micińskiego zagadnienie formy. Jak pisać o odkryciach, dokonanych w powyższy sposób we wnętrzu ludzkim? Na pytanie to Miciński odpowiadał bez wa-

hania. Forma wypowiedzenia powinna jaknajdalej odchodzić od sztucznego rygoru logistyki, dążącej do wyrażania myśli w równaniach algebraicznych, zbliżać się natomiast do rzeczywistości naszej wewnętrznej, w której w sposób naturalny i swobodny wiążą się wrażenia, uczucia i myśli. Dlatego to formą, jaką Miciński obrał dla swoich prac był esseizm.

Tak powstały dwa świetnie naszkicowane obrazy psychologiczne: portret Kanta i portret Juliana Apostaty. W obu Miciński wierny jest swym założeniom. Na próżno szukalibyśmy w „*Portrecie Kanta*” tych czy innych szczegółów doktryny królewieckiego filozofa: nie ma tam ani wzmianki o sądach syntetycznych a priori, ani o przeciwstawieniu numenów fenomenom. Znajdujemy tam natomiast cały szereg nieznanych ogółowi faktów z codziennego życia twórcy aprioryzmu, charakteryzujących stosunek jego do ludzi, do zwierząt, do ptaków i drzew. Z tych „drobiazgów” pomijanych i niedocenianych przez historyków największego filozofa Niemiec, Miciński odtwarza postawę jego ducha, a więc rzecz najważniejszą nie tylko u Kanta, ale u każdego człowieka. W podobny sposób naszkicowany jest portret Juliana Apostaty.

Szybkie postępy choroby i wzrastające z nim pragnienie rychłego wypowiedzenia się nasunęły Micińskiemu jeden jeszcze problem filozoficzny. Był to problem podwójnego pojmowania rzeczywistości: w czasie i poza czasem. Fakt, że doznania nasze otrzymujemy w czasie, to znaczy w takim porządku, gdzie układają się one w szeregi, w następstwie jedne po drugich, zmusza nas do wyrażania ich w takim samym porządku. Konieczność ta ciążyła coraz bardziej Micińskiemu. We wstępie do „*Portretu Kanta*” wypowiada on pragnienie usłyszenia kompozycji muzycznej od razu, jako jeden akord. W tejże pracy stawia sobie Miciński pytanie, czy istnieją formy literackie, dające się wyrazić pozaczasowo, w przestrzeni. A choć wydaje mu się epos czynić załość temu wymaganiu, niemniej jednak i w stosunku do twórców epickich stwierdza on, dla nas ludzi, konieczność poznawania ich treści w czasie, przyglądania się kolejno

„twarzom ludzkim stęzałym raz na zawsze w jednym, ostatnim grymasie”. Zgodnie z Bergsonem Miciński stwierdza fakt, że nie potrafimy pojąć żadnej akcji bez jej unieruchomienia i że nie jesteśmy w stanie „zamienić konstrukcji literackiej w jeden obraz, w jedno malowidło”.

Na przeszkodzie temu stoją z jednej strony „wąskie ramy naszego spojrzenia i nieszerokie granice świadomej uwagi człowieka” — z drugiej zaś bogactwo każdego wnętrza — „otchłań osobowości”, „nieświadomość sił skłębionych w człowieku”. One to sprawiają, że, jak mówi Miciński” w swoim ludzkim czasie powikłana jest każda osobistość”. „Ach, gdybyśmy wiedzieli” co dalej” — pisze on w „Portrecie Kanta” — gdybyśmy mogli wytoczyć przyszłe linie naszych dróg... gdybyśmy mogli, jak genialny wizjoner z Patmos, ujrzeć dzieje od razu... gdybyśmy mogli wyzwolić się z naszego czasu, rozszerzyć w nieskończoność krąg wąskiej świadomości i widzieć: „co dalej”. Na pięć dni przed śmiercią zajmowało go bardzo żywo to zagadnienie, gdyż prosił by mu odczytać raz jeszcze (z Pismem Świętym się nie rozstawał) słowa Psalmu XXXIX - go: „Oznajmij mi koniec mój, i jaka jest liczba dni moich, ażebym wiedział ile mi ich zostaje. Oto odmierzyłeś skapo dni moje, i wiek mój jest niczym przed Tobą”.

„*Satiabor cum apparuerit gloria Tua*” — nasycę się widokiem Twojej chwały! Mam nadzieję, że o prawdzie tych słów przekonał się już osobiście nasz zmarły Przyjaciel, to znaczy, że wszystkie trapiące go zagadki życia, stały się dlań jasne w świetle promieniującym z samej istoty Wiekuistego, który, jak mówi Eklezjasta, „*creavit omnia simul*” — stworzył wszystko naraz. Oby w pełni tego światła znalazło wiekuiste zaspokojenie trawione niepokojem serce Bolesława Micińskiego.

X. AUGUSTYN JAKUBISIAK

PORTRET KANTA

P O R T R E T K A N T A

*Autorowi "Essai sur les Limites de
l'Espace et du Temps" / X. Augustynowi
Jakubisiakowi /*

poświęcam

* * *

*Widzę co nocy w górze nad nami
Bezdeń czarniawą,
Niebo ogromne, drżące gwiazdami
Z mgławic kurzawy.*

*Strachem przejmuje dolina wieczna,
Czarny jar Boga,
W wicherze tworzenia rozwiana mleczna
Słoneczna droga.*

*Lecz przerażenie większe porywa
Gdy spojrzę w siebie —
Bezprawnych orbit spieniona grzywa
Jaźń mą kolebie.*

Tam nie wirują mgławice, ziarna
Narodzin wielu,
Noc nieprzejrzana, bez dna i czarna —
I m m a n u e l u !

Jarosław Iwaszkiewicz.

Le temps est illusion supreme. Il n'est que le prisme intérieur par lequel nous décomposons l'être et la vie, le mode sous lequel nous apercevons successivement ce qui est s'multané dans l'idée. L'oeil ne voit pas une sphère tout à la fois quoique la sphère existe tout à la fois; il faut bien que la sphère tourne devant l'oeil qui la regarde ou que l'oeil fasse le tour de la sphère contemplée. Dans le premier cas c'est le monde se déroulant ou semblant se dérouler dans le temps, dans le second cas c'est notre pensée qui analyse et récompose successivement. Pour l'intelligence supreme il n'y a point de temps; ce qui sera EST.

Henri Frédéric Amiel.

Podział sztuk na „przestrzenne” i „czasowe” należy do ciekawszych rozdziałów historii estetyki. Ale to już historia. Żyje jeszcze w świeżej pamięci osiemnastowieczny wdzięk Abbé Dubos, pamięć przechowała zimne stronnice „Laokona”, podobne do płyt stalowych na których ostry rylec Lessinga z precyzją kreślił antyczne linie. Tyle z tej teorii zostało w pamięci zwykłego przyjaciela sztuk. W istocie nie jest tak jak myśleli Dubos czy Lessing. Podział sztuk na przestrzenne i czasowe jest, jeśli nie fałszywy, to co najmniej chwiejny. Malowidło jest, zapewne, przestrzenne w sensie fizycznym, ale w przeżyciu wolno konstruujemy Rembrandta i w miarę upływających lat dostrzegamy coraz to

nowe cienie na ramieniu Betsabo, podobnie jak w miarę lat upływających coraz to nowe zmarszczki rozpięte na ramie oczodołów łowią w swoją sieć gasnącą źrenicę i płowiejącą zwolna tęczę. W czasie ogarniamy przestrzeń kamiennego nieba, na którym Michał Anioł utrwalił dzieje tego świata: przeszłość i przyszłość. Teraźniejszość? (Nie ma teraźniejszości: jest tylko pamięć i oczekiwanie. Tak ma się rzecz ze sztukami rzekomo przestrzennymi.)

Mozart w listach swych pisze, że zdarzało mu się słyszeć kompozycję „od razu” jak akord. Patrzył na rozwinięty pomysły muzyczny jak na obraz, jak na rzeźbę, którą można ogarnąć jednym spojrzeniem. Podobnie Gluck dostrzegł jeden ze swych utworów w formach przestrzennych: w rytmie krzesel wywróconych do góry nogami na stolikach uspionej oberży. Jeden z dawnych dobrych majstrów muzycznych, który w sztuce swej chciał odtworzyć mękę Chrystusa — przy wersecie 34 rozdziału dziewiętnastego według Jana — „przeszył” linie partytury rysunkiem muzycznych znaków, jakby włócznią, naśladując żołnierza, który przebił bok Zbawiciela.

(Nie ma sztuk „przestrzennych” i „czasowych”) — zapewne. Ale nie można dłonią, którą kieruje lekkomyślność, przekreślić starego podziału. Sprawa jest bardziej skomplikowana: już w samej bowiem literaturze możemy odnaleźć formy i czasowe i przestrzenne. Powieść psychologiczna uwikłana jest w czasie, jako że w „swoim” „ludzkim” czasie uwikłana jest każda osobowość. Jeśli rozumienie innego podmiotu polega na rozumieniu naszych własnych aktów psychicznych, jeśli ślepa monada ludzka, istota „bez okien”, nie może wykroczyć poza siebie, to jakże — związani czasem — możemy pojmować inaczej niż w czasie dzieje bohaterów Conrada? Skuci jak przy jednym wiośle z bohaterami powieści psychologicznej zeglujemy po mrocznym oceanie osobowości i razem z nimi przekraczamy smugę cienia pod czarną ławicą chmur, pod zasępionym niebem, ponad szlakiem, który prowadzi w głąb ciemności. Wtłoczeni w wąskie ramy świadomości bohaterowie powieści psychologicznej żyją w czasie jak my.

[Istnieją jednak formy literackie „sprowadzalne” niejako do przestrzeni. Formy, których nie trawi czas. Epika ujmuje człowieka „od zewnątrz”, po malarsku.] Jest w postępowaniu epika, który lekką stopą przechodzi nad otchłanią osobliwości, nieświadomość sił skłębionych w człowieku, ale jest w tym i pogarda i pobłażliwość dla istot, „które piękne jak liście, co się raz rozwina, znowu jak liście zwiedłe padają i giną”. Z liści wiosennych, letnich, październikowych, epik zdziera bärwy — z zieleni, czerwieni i złota lepi swój świat niezmienny jak świat idei Platona. W tym świecie twarze ludzkie stęzały są raz na zawsze w tym samym grymasie. To, co tworom epiki nadaje ruch, to zwykle następstwo zdarzeń, faktów uchwytnych od zewnątrz — jak obraz uchwytny w jednym spojrzeniu, jak fresk, w którym nie szukamy innej treści poza tą, która wyznacza układ brył i barw. Utwór epicki ożywiony jest ruchem jedynie w pierwszym czytaniu. Ciekawość tego „co dalej” ożywia na chwilę malowidło: Odys buduje łódź... łódź spływa na morze... łódź morskie fale porze... fale biją w łódź... Leukotea w postaci morskiej kokoszy spływa na fale. Nasza ciekawość — co dalej — wprawia obrazy w ruch. Ale to ruch pozorny, podobny do ruchu postaci narysowanych na marginesie książki, której stronicę spływają wartko spod palców dziecka, bawiącego się w kinematograf. Malarskiemu oglądowi epickiej całości przeszkadza wyłącznie ciekawość następstwa zdarzeń. (Wystarczy raz jeden — w pierwszym czytaniu — zapoznać się z akcją, aby unieruchomić całą konstrukcję i przekształcić utwór literacki w malowidło. Wszystko tu dane jest równocześnie: } Hermes nad morzem fiołkowym zawisł w locie, podobny do rybitwy, która opór skrzydeł zrównała z siłą wiatru; Polifem nad urwiskiem ramiona odrzucił w tył — nieruchomy jak głaz, który ściska w żyłastych dłoniach, Polifem zmienia się w kamień, w rzeźbę. Wszystko nieruchome jest w tym świecie wyzwolonym z ciekawości czytelnika, który zna już dzieje wyprawy Hermesa i z precyzją niemal według reguł batalistyki wyznaczyć może linię głazu zastygłego w dłoniach olbrzyma. „Podobna palmie Nausikas” jest

jak drzewo nietknięte wiatrem. Uśmiech zastygł na jej twarzy. Skamieniały drzewa na wyspie Feaków i fale skamieniały i Odys, po kolana pogrążony w kamiennej morskiej kąpieli — skamieniał. Epopeja raz przeczytana zmienia się w tekę grawiur, które rozrzucić i składać możemy tak, aby niespokojny o los ojca Telemach znalazł się przy boku niespokojnego o losy syna Odysa. Dzieło epika podobne jest do tarczy Achilla, na której boski kowal utrwalił obraz świata: „niebo, ziemię, morze, słońce nieznuzone, księżyc w pełni i znaki, które wieńczą niebo”. Jest na tej tarczy złota Pallada i Ares złoty i spragnieni nad wodą i trzody w złocie kute i winnice i złote skiby czarnoziemiu i psy gończe, pasterze i płowe lwy, które znaczą swoje ślady w złotym mule wodnych rozlewisk. Obrzeżona strugą oceanu — jak obraz świata na rysunku dawnych kartografów — tarcza Achilla jest „Genezą” świata starożytnego: jest historią tworzenia. Tak z dłoni Stworzyciela wypadły drzewa, ptaki, płazy, konie, spienione rzeki, ciemne wody oceanu i historia. „Wiekuiſty stworzył wszystko równocześnie” — mówi Ecclesiasta. *Qui vivit in aeternum, creavit omnia simul*. Świat, jak tarcza wykuta przez Hefajsta, spadł z dłoni Stworzyciela „już gotów”. Bo, jeśli prace kalekiego kowala widzimy w kolejności coraz to nowych, na powierzchni tarczy wyrastających kształtów, to tylko dlatego, że śledziły jego pracę niespokojne oczy Tetydy. Wąskie są ramy naszego spojrzenia i nieszerokie granice świadomej uwagi. Nie mogąc w szerokim spojrzeniu ująć wszystkiego od razu nadajemy następstwo faktom: najpierw jest więc wiosna, potem lato, potem jesień. Ale na tarczy Achilla wiosna kwitnie obok dojrzałego lata, w chłodne dłonie zimy spadają owoce jesieni — z jej lodowatych rąk wyrastają dymiące kopuły kasztanów — spalone latem dłonie jesieni zbierają szorstkie orzechy. Jest to *circulus vitiosus*, jako że tarcza Achilla jest okrągła. W czasie uwikłani czytamy „Genezę” i dzień po dniu rozpatrujemy dzieje tworzenia, bo nie umiemy patrzeć na świat, który jak niedojrzałe jabłko, strącone wiatrem grzechu, wypadł z rąk Stworzyciela. Niedoskonałość naszego

spojrzenia podsuwa świadomości pojęcie czasu i jego podziału. Dla nas jest najpierw światło, potem zmacone wody, ziemia, drzewa i ptaki.

Ale Wiekuisty stworzył wszystko jednocześnie.)



Pod skąpym kręgiem światła naszej świadomości wiruje czarny dysk, jakby płyta gramofonowa, na której raz na zawsze utrwalono historię — w łomocie kotłów, przy wrzasku miedzianych blach, przy jękach chóru. Wiruje czarna płyta, jak ogromne niebo, jak gwiazdy, z których chcemy wyczytać przyszłość.

— Ach! gdybyśmy wiedzieli „co dalej”, gdybyśmy mogli wytyczyć przyszłe linie naszych dróg z tą pewnością, z jaką możemy wykreślić linie głazu, który trzyma w ręku ślepy olbrzym: gdybyśmy mogli przeciąć nici ciekawości i niespokojnego oczekiwania, które każą tańczy niepojętym marionetkom historii. Gdyby można było poznać jej „akcję” i sprowadzić ten utwór epicki do właściwych wymiarów. Gdyby można było spojrzeć na dzieje jak na tarczę, która miała uchronić Achilla od śmierci! Gdybyśmy mogli, jak genialny wizjoner z Patmos, spruć nici ciekawości i ujrzeć dzieje „od razu” usłyszeć — jak Mozart swój kwartet, zobaczyć — jak Gluck zobaczył swoją muzykę. Gdybyśmy mogli wyzwolić się z naszego czasu, rozszerzyć w nieskończoność krąg wąskiej świadomości i wiedzieć: co dalej.)

— Gdyby.

Nie niosłyby nas wartkie potoki niespokojnego czasu, moglibyśmy, sprowadziwszy dzieje do właściwych przestrzennych wymiarów, spacerować wzdłuż wielkiego fresku i rozpatrywać co raz to nowe fragmenty. Moglibyśmy, jak wizjoner z Patmos, mierzyć dzieje łokciem, łokciem mierzyć świat i do skromnych, bo łokciem wymiernih form, sprowadzić naszą dumę, pychę i szaleństwo.

Moglibyśmy „zwiedzać” przyszłość, tak jak się zwiedza kaplicę Sykstyńską i, oczu na sklepienie nie podnosząc, zwyczajem turystów pochylić się nad lustrem, aby w lustrze od-

bite śledzić dzieje tego świata, które na kamiennym niebie utrwalił Michał Anioł.

Jak ptak oślepiiony błyskiem zwierciadła świat opada w dłonie, które ściskają rękojeść lustra. Chwieją się w steżalym-szklanym źródle obłoki, blaski, cienie. — Wali się z kamiennego nieba światło tworzenia, kurz dziejów, sadza świec niegasnących i ciepła krew, jak świeże farby, które kapą na oczy Michała Anioła. Wystarczy lustro przechylić, a historia popłynie przez ręce potokiem twarzy, ruchów i skłębionych ciał. Wystarczy obrócić zwierciadłem aby dostrzec... aby dostrzec wąskie plecy obleczone brązowym sukniem, wątle ramiona, biały harcap przewiązany czarną wstążką i w lustrze odbita twarz: sklepienie czoła, oczy w sieci zmarszczek, cienki nos, zapadłe policzki i zwiedłe wargi — twarz Emanuela Kanta.

Lustro w mahoniowej oprawie wisi na białej ścianie skromnego salonu. Obok połyskują metalowe spirale barometru. Twarz spływa z lustra, pochyla nad barometrem i gaśnie w przezroczystym szkłe, że ledwie można odczytać ciemne kontury oczodołów, nosa i ust.

Barometr mówił o mgle i mgła płynie nad Królewcem. Poranna mgła kłębi się w skrętach wąskiej uliczki, czepia gałęzi i zaćmiewa szyby salonu. W zmętniałym świetle majaczą za oknem drzewa nierzeczywiste — jakby dwuwymiarowe — podobne do zacieków brązowej farby na wilgotnej jeszcze akwareli. Z głębi pokoju połyskują metalowe guziki liberii — Martin Lampe w białym kitlu strzepuje kurz z kanapy, z foteli i przeciera szmatą oszkloną szafkę z porcelaną i srebrem. Stąd, z salonu małe drzwi prowadzą do gabinetu: dwa stoły, sofa, kilka krzeseł, drewniany fotel z oparciem, portret Rousseau w złotej ramie i skrawek zielonej jedwabnej firanki za oknem.

O piątej Lampe zapukał do drzwi sypialni: „Już czas” — powiedział podobny do anioła, który zeschłe ciała budzi w trumnie na sąd.

Teraz jest godzina siódma, i Kant wypalił już fajkę. Potężne zwoje dymu wchłonęły lekki opar unoszący się nad filiżanką herbaty i rozpląnęły po mieszkaniu jak mgła nad

Królewcem: — Przeszedł przez salon, pochylił nad sple-
złym lustrem, uderzył kościstym palcem w szkło barometru
i stanął we drzwiach domu. Widzimy go takim, jakim opi-
sał go Borowski: trójkątny kapelusz, pudrowana peruka,
czarny kołnierz, koronkowy żabot, fraczek z brunatnego su-
kna podszyty jedwabiem, szare pończochy, pantofle z klam-
rami i szpada przy boku. Wąską aleją lipową Kant idzie w
stronę Uniwersytetu na wykład.

Słabym głosem umiał narzucić ciszę i panował z katedry
nad salą. Wlepiał spłowiałe oczy w twarz najbliższego słu-
chacza. Rzędy ławek, czoła, głowy wsparte na ramionach —
oddalały się zwolna i rysowały na białych ścianach gmatwa-
niną linii i geometrycznych płaszczyzn jak na sztychu. Wpa-
trywał się uważnie w wybraną twarz, jakby chciał z niej
wyczytać stopień uwagi i zrozumienia. Najdrobniejsza zmia-
na w postawie lub stroju mogła go wprowadzić w zamieszanie.
Zdarzyło się, że dostrzegłszy brak guzika przy surducie stu-
denta przerywał wykład. Tak samo się zająknął i splątał
myśli, gdy student guzik przyszył: „Zechce pan odciąć gu-
zik, od którego odwykłem” — poprosił nieśmiało.

Po wykładzie rozegrywał partię bilardu w cukierni. Bieg
kul, posłusznych jak kula Galileusza, nie miał poczucia rze-
czywistości. Była w tym ruchu symetria trapezów, trójką-
tów i kwadratów. Błyski kul na zielonej „euklidesowej”
płaszczyźnie kreśliły linie dobrze znanych figur i toczyły
jak ciała niebieskie uwikłane w niezmiennie prawa. W dro-
dze powrotnej, w lipowej alei przesuwwały się przed oczyma
pnie drzew, zatarte kontury domów, twarze przechodniów
zniekształcone w bocznym widzeniu, ukłony i ledwie zanoto-
wane w świadomości uśmiechy.

W południe błękitne niebo wchłania mgłę. Czernieją cie-
nie drzew na chodniku i w słońcu nad Królewcem ślepną
szyby okien.

Przy obiedzie Kant olśniewa wdziękiem światowca starej
daty. Inaczej go widzimy w południe: mniej w nim pedanta,
dziwaka o zaburzonym poczuciu rzeczywistości, a więcej
charme'u osiemnastowiecznego intelektualisty. Przy skrom-
nie zastawionym stole, przy butelce wina toczy się rozmo-

wa „nie filozoficzna”: o polityce, i geografii, o Lampem i Napoleonie, o Fryderyku, lingwistyce, frenologii i magnetyźmie. Piękne to były rozmowy z przyjaciółmi, niezapomniane godziny, których pamięć przekazali Rink, Wasiński, Borowski czy Jachmann! — Z czasem dopiero zaczął unikać równieśników i otaczał się młodzieżą. Bo gdyby tak zabrakło convive'a jak guzika przy surducie słuchacza?... Piękne to były rozmowy! Zdarzyło się, że Hippeł wstał od stołu o ósmej wieczorem.

Ale to raz się tylko zdarzyło.

Po obiedzie jest spacer — zawsze samotny. W szarym surducie, z hiszpańską trzcinką, którą zastąpił później laską, Kant kroczy lipową aleją.

W lipcu 1789 skróciła przechadzkę Rewolucja Francuska. Innym razem zatrzymał się na chwilę i ostrym końcem okutej laski przewracał rozplaszczone na chodniku niezdarne i nieopierzone jeszcze ciała jaskółcząt. Było to wczesną wiosną i już u schyłku życia. „Gdy zimno wyniszczyło owady — zwierzał się potem — dostrzegłem sporo jaskółczych piskląt na bruku. Zwróciłem oczy ku gniazdu i zrozumiałem, że matki same wyrzuciły część młodych, aby zachować pozostałe przy życiu. Na widok instynktu tak bliskiego inteligencji nie pozostało mi nic innego, jak pochylić się w pokorze i wielbić”. W drodze powrotnej, zamyślony, wiązał rozpierzchłe słowa:...

„zorganizować zbiorowisko istot rozumnych — choćby to miały być demony... zorganizować, aby stanowiły społeczeństwo...”.

Sformułował tę myśl w gabinecie w cieniu portretu Rousseau, o godzinie szóstej...

G l o s t e r : A kiedyż wzgórza tego szczyt osiągnę?

E d g a r : Wspinamy się nań wciąż. Czy nie czujesz?

Jak ciężko iść nam? —

(Król Lear)

..... o szóstej z ćwiartką papieru w ręku zagłębiony w fotelu nawprost okna Kant patrzy na ruiny zamku królewieckiego. Zczerniała czerwień murów odbija od zblakłego nieba, po którym płyną bezradne białe obłoki. Na wzgórzu zamek wydaje się tym wyższy, że rosnące przed oknem topole sięgają szczytami wałów i wydłużają linie wież.

Zwolna gaśnie czerwień murów i zamek rozplywa się jak mgła. Rozwiewają się chmury, topole smukleją coraz bardziej — wreszcie giną. Szarzeje zieleń firanek i zacierają się kontury mebli. Białe ściany gabinetu wchłaniają cienie i kształty. Jeszcze widać portret Rousseau zawieszony nad biurkiem. Teraz już i Rousseau zapada w tężającą nicość. Gdyby Lampe uchylił drzwi gabinetu — oszalałby: nie ma ruin Królewieckiego, nie ma drzew za oknem, nie ma jedwabnej zielonej franki, nie ma biurka, nie ma białych chudych rąk na poręczy drewnianego fotelu, nie ma fotelu, nie ma czasu, nie ma przestrzeni — „noc nieprzejrzana, bez dna i czarna”.

...A kiedyż tego wzgórza szczyt osiągnę?

*Wspinamy się nań wciąż, czy nie czujesz
jak ciężko iść nam?... Podejdź, panie!
tutaj jest właśnie szczyt.*

*Nic nie mów! Jakże strasznie,
zawrotnie rzucić okiem w taką głębię...*

...Dłużej już tam patrzeć nie mogę,

Bo mi w głowie się zakręci

i mrok na oczy padnie — i polecę wprost w przepaść.

Zwolna wracają białe kościste dłonie i odnajdują dobrze znaną wygładzoną poręcz. Krzepną wrócone rzeczywistości kontury krzeseł i stołów, zapala się krąg światła nad lichtarzem i tylko zawieszony nad biurkiem portret Rousseau ledwie dostrzegalny, bo zakryty potężnym profilem — cieniem głowy Emanuela Kanta. Blask świec odbity od rami portretu rozsypuje po ścianie złoty pył nad wysokim czołem.

Rozchwiany cień przesuwają się po ścianie i gaśnie w czarnym prostokącie okna. Wysoko, na kantowskim gwiaździstym niebie srebrzą się przez chwilę krople odległych światów, zanim je przesłoni jedwabna firanka. Ciemny profil płowieje na zielonym płótnie, oddala i pochyla nad książką.

Teraz jest godzina lektury.

Stronnice dzieła holenderskiego myśliciela szeleszczą w białych, jakby papierowych, dłoniach:

„owady, zamieszkujące czuprynę zebraka, zwykły nazywać swe domostwo globem olbrzymim, a siebie — arcydziełem stworzenia. Aż raz jeden z nich — jakby Fontenelle gatunku — wskazując na głowę pewnego szlachcica rzekł wolnomyślicielom swego powiatu: nie same jesteśmy w naturze!... cała natura zamieszkała jest także przez wszy”.

Uśmiechnął się z zadowoleniem i zarysował margines książki ostrym, bladym paznokciem. „Większość ludzi rozmija się z celem życia — zanotował. Trawić... rozmnażać się. Zwierzęta osiągają ten rezultat mniejszym kosztem”. Na cóż może się zdać krzywy, pokręcony pień drzewa? I dodał po chwili: *aus so krummen Holze, als woraus der Mensch gemacht ist, kann nichts gerades gezimmert werden.*

Wieczorna mgła płynie po szybach, przenika szczeliny okien i gęstnieje w fałdach firanki. Cienie płaczą się po ścianach, rozwiewają, krzyżują i ciemnieją. Cienie nasiakają złotem ram, zielenią jedwabiu i wiśniowym połyskiem biurka. Cienie suną po lśniącej posadzce, pełzną po ćwiartkach papieru, sięgają dłoni, obrzeżają ciemnym konturem suche palce, tężeją w oczodołach, leżą na zapadłych policzkach i znaczą czernią linię ust.

O dziesiątej Kant wchodzi do zimnej sypialni o wiecznie przesłoniętych oknach. Rozbiera się „według metody” i „według metody” starannie owija się w brunatną kołdrę jak w kokon. Za chwilę zaśnie. Wtedy z kokona wyfrunie ogromna ćma i chwiejnym lotem okraży głowę.

Jutro Kant zapisze w notesie: „wysstrzegać się złych snów”.

II.

Nie wielu chyba filozofów znalazło tylu biografów, a żaden z pewnością nie prowadził życia równie bezbarwnego i systematycznego. Pociągały zapewne historyków dzieje myśli, rozwój konstrukcji pojęciowej wydzwigniętej jakby *ex nihilo*, bo bez „modelu”, bez pierwowzoru w starożytności. Zapewne, ale musiało być i w życiu królewieckiego filozofa coś szczególnego, skoro wśród biografów Kanta odnajdujemy nazwisko de Quincey'a, autora rozprawy o „Zbrodni jako sztuce pięknej”.

Życie Kanta jest *strukturą*: wydaje się być raczej dziełem przyrody niż człowieka. Jeśli jest jednak w tym żywocie coś, co kojarzy się z precyzją pajęczyny i kryształu, to skojarzenie takie oparte jest na powierzchownej tylko analogii. Brak mu właśnie tej asymetrii, którą odnajdujemy w rysunku klonowego liścia i tak podobnym do klonowego liścia rysunku dłoni. Brak mu tej asymetrii, która różni lewą połowę twarzy od prawej — jest groza i spokój gipsowego odlewu pośmiertnej maski. „Sztuka — pisał z właściwą sobie pedanterią — różni się od natury podobnie jak czyn (*facere*) od działania w ogóle (*agere*), wytwór zaś czyli skutek sztuki ma się do natury jak dzieło (*opus*) do działania (*effectus*). Sztuka w istocie jest wyłącznie twórczość wolnej woli, która rozum bierze za zasadę działania. Bo choć sztuką zwykliśmy nazywać dzieła pszczół (prawidłowo ułożone płytki wosku) to mówimy tak tylko przez analogię i wystarczy uświadomić sobie, że praca pszczół nie na rozumnym przemyśleniu jest oparta, aby przyznać bez wahania, że dzieło ich jest wytworem natury (instynktu)...

(Kant stworzył swoje życie jak dzieło sztuki (*opus*) biorąc rozum i wolę za podstawę.)

Nie bez słuszności szczyił się swym zdrowiem: „Z doświadczenia wiem — mawiał — że działanie umysłu jest lekarstwem, które ze skutkiem zwalczać może cierpienie ciała. Choć słaby z konstytucji i obciążony nieszczęsną skłonnością do hipochondrii, stałem się panem moich myśli i umiałem je odwrócić od bólów, które wypływały z wadliwej

budowy klatki piersiowej, krępującej ruch serca i płuc". Szczupły, niemal ułomny, o płaskiej piersi i nierównych ramionach, podobny był właśnie do krzywego drzewa, „z którego trudno zrobić coś prostego”. *Aus so krummen Holze als woraus der Mensch gemacht ist...*

Zdawał się być skazany na wieczne niedomaganie a potrafił przecież zachować niezmałone zdrowie i umiał nadać życiu formy proste, podobne z kształtu do rośliny rozpiętej na ścianie w ramach drewnianych krat i w sieci drutów. Wszystko było dokładnie odmierzone i przemyślane: godziny odpoczynku i pracy, ilość i jakość pokarmów, krój i barwa stroju. Schubert upewnia, że nie znał kobiety, któraby umiała z równym co Kant znawstwem, rozprawiać o tkaninach i koronkach. Wybredny był w doborze materiałów i lubił łączyć kolor żółty z brunatnym, powołując się na porządek przyrody, która zestawiała te barwy na uchu niedźwiedzia. Pończochy nosił białe lub szare, gdyż czarne wyszczuplały zbyt chude nogi i specjalnym systemem tasiemek zastąpił podwiązki, które utrudniały obieg krwi. Do obiadu zasiadał w kompanii, „posilek w samotności nie służy zdrowiu człowieka nauki”. A że liczba współbiesiadników musiała wahać się między liczbą Grecji i Muz, rozmowy były pełne wdzięku i krzepiły zdrowie. Tematy ciężkostrawne pomijano: nie wolno było mówić o filozofii i śmierci. „Niech zmarli spoczywają wśród zmarłych” — uciał, gdy wspomniano Hippla. „Teraz jest czas na metafizykę życia. Więc pochylał bladą twarz nad kieliszkiem czerwonego wina i szeroko otwierał usta, aby wchłonać jak najwięcej zmieszanego z winem tlenu. Taki napój miał wzmacniać siły i ożywiać aktywność żołądka. Nawet przy pracy nie opuszczała go troska o zdrowie: w gabinecie rozwieszał na krześle białą chustkę aby przypominała o chwili odprężenia i ruchu. Na spacerze oddychał wolno i przez nos w obawie przed świeżym powiewem. Niezmienny porządek dnia oszczędzał wątłe siły i chronił wrażliwą strukturę psychiczną przed nieoczekiwaną wizytą, groźną dla spokoju wewnętrznego jak świeży powiew i mgła dla płuc. Związany szeregiem narzucanych sobie ograniczeń wegetował podobny do rośliny w

sieci drutów: życie uczuciowe było skrepowane jak płuca i serce ugniecone klatką piersiową.

Upór z jakim obstawał przy regulaminie życia codziennego zdradzał osłabione poczucie rzeczywistości. Świat zewnętrzny był daleki, nieuchwytny i obcy. Zamknięty w kręgu pojęć żył pamięcią i oczekiwaniem. I teraz — niejasność, jeśli jej z góry nie przewidział, była intruzem i stawała w drzwiach gabinetu jak nieoczekiwany gość, jak anioł śmierci, który drwił z czasu. Żył czasem „wewnętrznym”, który z ciemnych źródeł pamięci płynął niepewny i chwiejny jak pamięć. Jak rwący strumień — czas porywał strzępki wspomnień, z szumem opływał potężne przesła pojęciowych konstrukcji i w krętych wirach unosił cały świat: gałązki topoli, połyski szyb, czerwień murów, spelzły błękit, obłoki, cienie i twarze. Jak poryw wiatru — czas — szeleścił w kartkach ściennego kalendarza zdzierał ćwiartki papieru ze stołu i powiewał zieloną firanką. Twarze przechodniów z lipowej alei i uściśnięte z roztargnieniem dłonie płynęły przez pamięć podobne do liści na wietrze.

Rzeczywistość przeciekała mu przez palce jak mgła i piecił się gniewny strumień czasu. Więc żył jak zegar i żeby wzmocnić zachwiane poczucie rzeczywistości narzucił sobie i swemu światu punktualność świtu, południa i zmroku. Strzegł porządku dnia z uporem i despotyzmem. Nie lubił wizyt nieproszonych, wybuchów śmiechu, łez i muzyki, która „niepożądana odwiedza sąsiadów”.

A muzyka nawiedzała go nazbyt często. Pogodził się z codziennym przemarszem królewieckiego garnizonu i polubił z czasem wrzask wojskowej orkiestry. Zdarzyło się nawet — jak wieść niesie — że zapłakał przy trelach słowika. Ale gniewał go śpiew więźniów, z którymi (niestety) sąsiadował. „ci którzy zalecili śpiew przy codziennych obrzędach religijnych — tłumaczył nadąsany burmistrzowi — nie zastanowili się nad tym, że hałaśliwe dewocje niepokoją sąsiadów, którzy muszą przerwać rozmyślenia, jeśli sami nie skłonni są do śpiewów”. Zgodnie z życzeniem filozofa zamknięto więc okna więzienia zduszony śpiew kłębił się w wilgotnych korytarzach i celach.

Kant — mówił Heine — podobny był do zegara z wieży królewieckiej: beznamiętny i dokładny.

Zdarzały się co prawda i nieprzewidziane rozrywki: proszony obiad, przewlekła partia wista, spacer bryczką barona M. czy odwiedziny znakomitego cudzoziemca. Bywało też, że po spacerze odwiedzał Greene, angielskiego kupca. A że przypało to na czas poobiedniej drzemki gospodarza, wchodził na palcach, zagłębiał się w fotelu i zasypiał. Po chwili zasypiał obok i Ruffman, dyrektor banku królewieckiego i stały bywalec domu. Dobre sny wylatywały z home-ryckiego piekła bramą z kości słoniowej i płynęły pod przymkniętymi powiekami uspiionych przyjaciół.

Takie były zabawy, spory w one lata

.....kiedy reszta świata

We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,

Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,

Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,

Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych...

Mąciły więc czasem sen echa dalekich wystrzałów, a jeśli drzemka przypadała na czwartek...

.....W czwartki radca Otto Hoffman zwykł był odwiedzać przyjaciół i mały Ernest Teodor, już wtedy znudzony monotonią życia, wymykał się z domu. W sędziowskiej peruce, w czarnej todze, i z *viola de gamba* przewieszoną przez ramię biegł przez gazon przed domem. Drobnny, cherlawy, podobny był do karzelka. Rozwiewały się na wietrze nici peruki i' czarne skrzydła togi. Jak ranny ptak polatywał nad gazonem, rozrzucając jaskrawe cienie. Byleby dopaść zielonych gąszczów: mały Hippel pomykał z fletem wzdłuż płotu. Werner, Matuszewski i inni ściskali pod pachą skrzypce, a każdy w ojcowskiej peruce i w todze. W zielonym gąszczu rozwiewały się poły uroczystych mundurów, połyskiwały smyczki i wiolonczele:

Ta ra ta ta ta ta — tam!

Ta ra ta ta ta ta — tam!

Hoffman dyrygował i końcem rozedrganego rytmem smyczka ścinał liście bzu, które padały na twarze i ręce muzykantów.

Ta ra ta ta ta ta — tam. *Eine kleine Nachtmusik!*
Szarżowali ostro od pierwszych taktów: białe peruki zsuwały się na tył głowy odsłaniając rude szczeciny krótko strzyżonych włosów, pągowate dłonie wyrostków ślizgały się po strunach i poplamione atramentem palce bębniły po czarnych gryfach. Gładko, jednym tchem przeszli w andante, zabręczało kilka stłumionych taktów, muzyka przygasła, na chwilę i znów wybuchła radosnym zgiełkiem:

Ta ra ta ta ta ta — tam!

Ta ra ta ta ta ta — tam!

„...jest w muzyce pewna nieobyčajność, która wynika już z natury samych instrumentów — przedkładał Kant towarzyszom. Często niepożądana odwiedza sąsiadów i mąci spokój tych, którzy nie należą do zespołów muzycznych. Wolne są od tej wady sztuki, które cieszą oko... porównywałbym muzykę do woni... ten, który wyciąga z kieszeni uperfumowaną chustkę, nie pyta sąsiadów i narzuca im uciechę, której uniknąć nie mogą, jeśli chcą oddychać. To też zwyczaj ten wyszedł już z mody”.

Muzyka buchała z zielonej gęstwiny, drżały liście bzu, i grzmiały smyczki w zgodnym *tutti*.

Ta ra ta ta ta ta — tam!

Tam — tarra — ta — tam!

III.

...o godzinie szóstej, z ćwiartką papieru w ręku, zagłębio-ny w fotelu na wprost okna...

„...Wzniosłą nazywamy wielkość bezwzględna — pisał. Być wszelako czymś wielkim, a być wielkością —

oto dwa różne pojęcia (*magnitudo* i *quantitas*). Tak samo rzecz po prostu (*simpliciter*) o czymś, że jest wielkie, to zgoda co innego niż powiedzieć: wielkie bezwzględnie (*absolute non comparative magnum*). To ostatnie bowiem oznacza wielkość, której już z niczym porównać się nie da.

...Wysokość drzewa, oceniona wedle wzrostu człowieka, służyć może od biedy jako skala, według której moglibyśmy z kolei ocenić wysokość góry; gdyby ta zaś na milę była wysoka, mogłaby nam służyć jako jednostka dla liczby, wyrażającej średnicę ziemi, by ją przedstawić poglądowo. Średnica ziemi mogłaby znów być zastosowaną do znanego nam systemu planetarnego — system planetarny zaś do drogi mlecznej; niezliczona ilość mlecznych dróg, w podobny, jak się zdaje związanych systemat, *nie pozwala nam już oczekiwać jakichkolwiek granic*. Owóż wzniosłość, gdy chodzi o sąd estetyczny tak niezmiernej całości dotyczący, leży nie w wielkości liczby lecz w tym, że postępując wciąż naprzód, do coraz to większych docieramy jednostek; przyczynia się do tego systematyczny podział świata, który wszystko co wielkie w przyrodzie jako małe nam z kolei ukazuje, a w szczególności naszą *wyobraźnię* — wraz z nią i natura maleje *wobec wielkości idei rozumu*.

...Zuchwałe, groźnie spiętrzone urwiska, chmury po niebie płynące wśród błyskawic i trzasku, wulkany rozpętane w całej swej mocy, huragany, które zniszczenie wloką za sobą, bezgraniczny, wezbrany ocean czy spadek rzeki potężnej — sprowadzają do nikłych rozmiarów naszą zdolność wyobrażania w zestawieniu z ich potęgą. Widok ich tymbardziej jest pociągający im bardziej groźny. Słusznie tedy nazywamy te zjawiska wzniosłymi — wznoszą one bowiem siłę ducha ponad zwykły poziom i każą nam w sobie samym odnaleźć zdolność i odwagę, którą pozwala zmierzyć się z pozorną potęgą natury... i tym samym odsłaniają nam ukrytą w umyśle naszą wyższość nad przyrodą.

...Widać stąd, że nieściśle się wyrazamy wzniosłym mieniąc jakikolwiek bądź przedmiot natury... co najwyżej rzecz można, iż przedmiot ów przedstawiać może wielkość, którą odnaleźć można jedynie w umyśle, gdyż wzniosłość prawdziwa nie może być w żadnej postrzegalnej formie zawarta i tkwi wyłącznie w pojęciach rozumu”...

Wobec przyrody, nieograniczonej w swej przestrzeni i mocy człowiek poznaje własną małość — i odnajduje równocześnie swoją wyższość: wznosi się nad niebo wygwiazdzone, nad morze szerokie i słone, nad górskie grzebienie, po których pełzną szare, postrzępione mgły. Człowiek nie-
sie w sobie idee Boga, nieśmiertelności, sądu ostatecznego: w ich blasku gasną gwiazdy jak zdmuchnięte świece, zwi-
ją się konstelacje jak źdźbła trawy podciętej płomieniem — szum morza ledwie uchwytny, grzebienie gór tak małe, że można je nakryć kościstą suchą dłonią. Ten przewycię-
zony, pod nogi człowieka zepchnięty świat przypomina pej-
zaż, przed którym Szekspir postawił ślepea.

PUSTE POLE W OKOLICACH DOWRU:

G l o s t e r — A kiedyż wzgórza tego szczytu osiągnę?

E d g a r — Wspinamy się nań wciąż. Czyż nie czujesz, jak ciężko iść nam?

G l o s t e r — Mnie grunt zda się równym.

E d g a r — Okropnie stromo. Słuchaj! Słychać morze.

G l o s t e r — Ja nic nie słyszę.

E d g a r — Podejdz, panie! — tutaj jest właśnie szczyt. Nic nie mów! Jakże strasznie zawrotnie rzucić okiem w taką głębię. Gawrony, kawki, które w pół powietrznej drogi skrzydłami biją, nie są większe stąd niżli bąki. Tam — w połowie skały ktoś, zbierający skalny chwast, zawisnął — straszliwy zawód! — zda mi się nie większy

*od własnej głowy. Na wybrzeżu morskim
rybacy stąd wydają się jak myszy,
a tamten smukły na kotwicy statek
w rozmiary zmalał własnej łodzi, tódż zaś
w pływaka, prawie już niewidocznego.
Szumiący przypływ, co na niezliczonych
bezpłodnych żwirach tłucze się, nie może
dojść rykiem tutaj... Dłużej już tam patrzeć
nie mogę, bo mi w głowie się zakręci
i mrok na oczy padnie — i polecę
wprost w przepaść.*

Jeśli Kant znał „Króla Lira” musiał w ostatnich latach swego życia pochylać się nad nierzeczywistą przepaścią, którą ślepyimi oczami oglądał Gloster

*„nabądź gdzieś szklane oczy i jak czynią
spod ciemnej gwiazdy politycy, zdaj się
to widzieć, czego nie dostrzegasz”.*

Zagłębiany w fotelu na wprost okna miał przed sobą ruiny zamku Królewieckiego, topole i zblakłe niebo:

Ograniczony obraz przyrody z a m k - nięty w prostokacie okna jak pejzaż w ramie. Jakże więc mógł rozszerzyć granice wyobraźni i wyzwolić w sobie wzniosłość idei rozumu? Na próżno męczył pamięć i ubogą wyobraźnię. Były bezradne. Pamięć tyle tylko mogła wyobraźni użyć, ile wchłoneła w godzinach poobiednich spacerów: pnie drzew z lipowej alei, zatarte kontury domów i twarze przechodniów. Przymykał szkliste oczy; wtedy pod powiekami rysowały się ramy okienne, kontury stołu, krzeseł i na tle dogasających spostrzeżeń, w tle jedwabnej franki, jak w wodzie zielonej, przepływały plamy podobne do cieni ryb w morskiej głębi. Wynurzały się uparcie z pamięci sztychy, ilustracje i stronicę przyrodniczych atlasów — schematyczne rysunki morskich stworów i

geometryczne szkielety ryb przekształcały się oczom przymkniętym w skrzyżowanie ramy okiennej. I znów miał przed sobą skrawek firanki, ruiny zamku i zblakłe niebo. Wertował pamięć jak słownik i z form dobrze znanych jak z klocków usiłował odtworzyć w wyobraźni „zuchwałe, groźnie spiętrzone urwiska, wulkany rozpetane w całej swej mocy niszczącej, bezgraniczny, wezbrany ocean”....

Niezmierny ocean pamięci (absolute non comparative magnum) wyrzucał na brzeg świadomości szczątki przygasłych wspomnień — *zawsze te same*. Pod przymkniętymi powiekami rozrastały się błękitne i złote obręcze. W świetlistych kręgach jakby w pianie skąpane chwiały się gałęzie z lipowej alei, liście, dłonie i twarze. Pływały mury królewieckich domów, dachówki powleczone sadzą, kominy w kłębach dymu i okna. Rozwiewał się zwolna dym i rozjaśniały wapnem powleczone ściany — w spękany tynk szyby zdawały się przedłużać refleksy światła i rysy w promienie ogromnej pajęczyny. Wyobrażenia, podobne do mgławicy, krążyły wokół ośrodka ciężenia: cienie skupiały się w jamy oczodolów, w zapadłe policzki i układały się w wąską linię ust. Z odległych brzegów, z „nie euklidesowej” przestrzeni wyłaniał się zarys oczu w sieci zmarszczek, sklepione czoło i zwiędłe wargi.

Jak muszlę przykładł do ucha wielkie tomy in-octo i quarto, aby z nich jak z muszli wysłuchać grzmiący przypływ dalekich wód, zatrząskiwł okiennice pokoju sypialnego, aby uciec przed niebem; palcem na mapie wodził po górach nie większych od gasienicy. Nosił w sobie ideę Boga — w jej blasku gasło niebo nad Królewcem. Nosił w sobie ideę nieśmiertelności i mógł nakryć dłonią ocean. Ale nie znał Boga jak nie znał nieba, nie znał nieśmiertelności jak nie znał morza i nie znał grozy sądu ostatecznego. Góry rozpełzały się na mapie i niebo gasło za oknem i morze „płynne z w i e r c i a d ł o obrzeżone niebem”. Znał tylko postulaty moralności: Bóg był postulatem, nieśmiertelność była postulatem i postulatem był dramat sprawiedliwości w dolinie Józefata. Był sam, a „niewiele jest w człowieku dobrego...

homo homini non Deus sed diabolus". Więc jak Gloster pochylony nad przepaścią, której nie było,

Potężni wy bogowie!

*Wyrzekam się w obliczu waszym świata,
Cierpliwie zrzucam z siebie niedolę,
Bo gdybym mógł ją dłużej nieść, a z waszą
nie popaść w spór, potężną, nieznoszącą
oporu wolą, to jestestwa mego
obrzydła spalna cząstka samaby się
spaliła.*

Sam został ze śmiercią, która go osaczała: „życie jest dla mnie ciężarem, znużony jestem dźwiganiem i gdyby mnie anioł śmierci wezwał tej nocy, wznosząc ręce i z głębi serca niech Bogu będą dzięki — powiedziałbym. Nie jestem tchórzem i dość mam siły żeby skończyć z sobą, ale byłoby to przeciwne moralności". Śmierć go osaczała. Anioł śmierci stał w drzwiach jak stary Lampe: „już czas". I czas toczył się nad Królewcem.

Czas toczył się nad Królewcem i budził go pianiem koguta z sąsiedztwa. Chciał odkupić koguta — sąsiad odmówił. „Ach, pan ma uszy zwyczajne — westchnął — ja mam słuch metafizyczny". W porannej mgłę, w strugach deszczu, kogut łopotał czarnymi skrzydłami: już czas, już czas!

...o godzinie szóstej zagłębiany w fotelu rozpinał jeszcze na szybach gabinetu symetryczną sieć pojęć. W pajęczynie kategorii i form, jak w kuli szklanej odbite wydłużały się linie wież na zblakłym niebie i chwiały bezradnie obłoki. Ale kogut łopotał skrzydłami — już czas — i niepokoił go rozrost drzew za oknem. Smukłe pnie, jakby ogromne wskazówki słonecznego zegara rzucały cień na szyby gabinetu: już czas!

Ścięto więc topole, aby uratować zachwiane i na długoletnim nawyku oparte poczucie rzeczywistości filozofa. Ta egzekucja przyrody zgodna była z orzeczeniem rady miasta i z wolą Kanta, jako, że „człowiek rozmawia z przyrodą jak

sędzie z podsądnym". Była w tym wyroku potrzeba uratowania całego systemu, który chciał żeby kula stoczona przez Galileusza biegła po równi pochyłej z tą szybkością, jaką jej Galileusz wyznaczył. Była w tym geście słabość podobna do tej, która perskiemu despotce kazała chłostać morze po przegranej bitwie.

Zagłębiany w fotelu mógł znów patrzeć na ruiny zamku królewieckiego, na obłoki i blade niebo. Ale pajęczyna rozpięta na szybie nie łowiła już cieni i blasków — była pusta. Gdyby Lampe uchylił drzwi gabinetu zastałby wszystko na miejscu: jedwabną firankę, biurko, profil na ścianie, portret Rousseau, wysokie oparcie fotelu i białe ręce na wygładzonej drewnianej poręczy. Już nie panował nad rzeczywistością. Za oknem rudziały pnie ściętych drzew i na tle żółtego o zachodzie nieba sterczało tylko kilka zardzewiałych liści bluszczu. Posrebrzone wrzesniowym przymrozkiem liście były sztywne, jakby wycięte z blachy.

Na próżno usiłował szepić ostatnie wiązanie pojęć. „Męki Tantala” zanotował 21 września 1798 roku i zniechęcony odsunął rękopis zaczętej pracy, w której chciał wytyczyć przejście od zasad metafizyki do nauk przyrodniczych. Na tle żółtego nieba zarysował się czarny profil, zawisł na skrzyżowaniu ramy okiennej. Głowa zapadła w ramiona, kościste łokcie i koronkowe manszety podobne były do wystrzępionych skrzydeł.

Tragedia Ikara — tłumaczył Max Scheler — w tym leży, że im bliżej był Ikar słońca tym bardziej topniały woskowe skrzydła.

IV.

*Edgar: Więc twoje inne zmysły
wraz z klęską oczu słabną?
O, treść poważna z niedorzecznością zmieszana
Rozum tkwi w tym szale
jednak!.*

Zwolna odchodziła go pamięć i bielmo przesłoniło lewe oko. Na próżno pochylał się nad wygasłym źródłem pamięci — w nikłej zamulonej strudze trzepotały się strzępki wyobrażeń: czerwień murów, obłoki, ramy okienne i skrawek zielonej firanki. Pocieszał się (nie bez słuszności) wzmożoną sprawnością drugiego oka, ale szedł już niepewnie. Wpół odwrócony przezornie chronił prawe ramię jak złamane skrzydło. Podobny do rvsunków egipskich sunął aleją lipową płaski jak własny cień.

Jesienny blask złocił zeschły profil. Po lewej ręce była ciemność, w błękitnych cieniach tonała skroń i czerwieniły obwódki powiek przymkniętych nad zgasłym okiem. W kalekim spojrzeniu pole widzenia zwęziło się jak księżyc w pierwszej kwadrze: w wąskim sierpnie światła czerniły się gałęzie i trzepotały żółte listki. Obojętny i osowiały mijał dobrze znajome drzewa i domy. W mieszczańskich ogródkach bluszcz wspinał się po ceglanych ścianach i w ciemnej zieleni, stłumione rozrostem bluszczu, krwawiły się schnące róże. Na grządkach dojrzewały dynie, dalej szamotały się w spalonej trawie wydzierając z ziemi pękate korzenie i słoneczniki przewieszały ciężkie głowy przez sztachety. W okrągłych tarczach odsłoniły się już kręgi dojrziałych ziaren i złoty kurz sypał się pomiędzy cienie sztachet, skrzyżowane pod nogami przechodnia. Na drżących nogach szedł po kraje z czerni i złota, znudzony i smutny. „Piękne to bardzo... i zieleń i kwiaty, ale zawsze to samo... to samo”. W oczekiwaniu wielkiej przemiany zbrzydził sobie niezmienną kolej przyrody. [To samo... zawsze to samo, powtórzył na wiosnę roku 1802. Bez żalu zegnał swój świat: „Dlaczegóż to wzbraniam się ustąpić miejsca nowemu światu, który nadchodzi i po co wlec wśród prywacji żywot słabowity i ponad wszelką miarę długi? Po cóż przykładem swym wprowadzić zamieszanie do wykresów śmiertelności... od siły woli uzależniać to, co dotąd zwało się losem?”. Zapisał tę myśl jakby nie gęsie pióro trzymał w dłoni, ale rylec Marka Aureliusza. Bez żalu zegnał świat i zdawało się, że czekał tylko okazji aby „ustąpić”.

Zdarzyło się kiedyś na przechadzce, że upadł. Dwie da-

my, które mijał właśnie, pomogły mu wstać. Jakież może być niebezpieczeństwo przy upadku tak lekkiego ciała? — pocieszał żartobliwie stroskane panie i uprzejmie odsunął życzliwe ramiona. Z czerwoną różą w zeschniętej dłoni podobny był do strawionego czasem posągu Arnobiusza, przed którym Condillac na próżno powiewał krwistą różą aby obudzić życie w miedzianej czaszce. Wsparty na lasce zamyślił się głęboko, jakby miał powziąć ważną, ostateczną decyzję i po chwili gestem pełnym staroświeckiej elegancji wręczył różę jednej z dam. I tak rozstał się z przeszłością. Zostało tylko oczekiwanie.

Rok 1803 zastał go smutnym i znużonym: „...być jedną nogą tu a j a drugą w wieczności, to tak, jakby się było aniołem z Koranu, którego jedna brew oddalona jest o 8000 mil od drugiej”... skarżył się. W ciągu dnia drzemał na fotelu, a wieczorem gdy prowadzono go do łóżka: „ach, panowie — wzdychał — młodzi jesteście i silni. Widzicie moją nędzę... gdy dożyjecie moich lat słabi będziecie jak ja... Mówi Biblia: życie ludzkie trwa lat siedemdziesiąt najwyżej a i to co w życiu najlepsze jest tylko zmęczeniem i pracą”. Noce miał niespokojne i nawiedzały go złe sny. Złe sny wylały się z Homeryckiego piekła bramą z rogu, podobne do nietoperzy. W sypialni o wiecznie zamkniętych okiennicach powiewały błoniaste skrzydła i świeciły okrągłe rubinowe oczy. Budził się przerażony i znów zasypiał. W strudzonej wyobraźni — jak liście na wietrze — płynęły obrazy poplamione krwią, jakby stronicę wydarte z „Króla Lira”. Śmiał się o świecie, pokpiwał z nocnych widziadeł i zapisywał w dzienniczku: „Wystrzegać się złych snów”. Niestety, wracały upórcoznie wieczorem. W nocy osłabione hamulce psychiczne nie panowały nad wyobraźnią — za dnia zawodziła strudzona pamięć. Umiał co prawda recytować bezbłędnie mechanicznie, tablice logarytmów Keplera, ale płatał się już w najprostszych rachunkach i brakło mu nieraz słów codziennego użytku. Przy obiedzie powtarzał w kółko te same anegdoty i tak zamiast ubawiać, zasmucał współbiedników obrazem umysłowego niedołęstwa. Na próżno, zawsze pedantyczny, spisywał na ćwiartkach papieru ucieszne dyk-

teryjki o Lampem, Napoleonie i Fryderyku — notatki wy-
mykały się z drżących dłoni, jąkał się, zamyślał i gubił wá-
tek. Wreszcie — „macie ot, panowie, przed sobą bezsilnego
starca” — mówił i zapadał w milczenie. Wyczerpana pa-
mięć wyrzucała już tylko odpadki: strzępki ludowych melo-
dii, zasłyszanych w dzieciństwie i resztki szkolnej łaciny. Ze
szczególnym uporem wracały pierwsze słowa bajki z ucz-
niowskich wypisów: *Rusticus senex cum adpropinquantem
mortem sentiret...* Nie pamiętał dalszego ciągu, więc recyto-
wał na wspak: sentiret, mortem, adropinquantem, cum, se-
nex. Potem kojarzył już bez sensu: forceps — krowa, rusti-
cus — wasy, nebulo — to Ty.

W miarę gasnącej pamięci rozluźniało się poczucie jed-
ności psychicznej, zaćmiewała świadomość i czas biegł coraz
szybciej. Eheu... fugaces... fugaces... Słowa uciekały i dni
uciekały, że nadażyć już nie mógł w pogoni. Pływały dni jak
stronice wertowanej w pośpiechu książki, której koniec
przeziera z daleka. Gdy filiżanka czarnej kawy rozjaśniała
świadomość zamyślał się nad bliskim rozwiązaniem zawikła-
nej akcji: co dalej? Nie wiedział, co sądzić o życiu przysz-
łym. „Nic, albo nic pewnego” — zwierzył się jednemu z
przyjaciół. A że świadomość rozjaśniała się coraz rzadziej,
coraz to częściej i natarczywiej domagał się kawy. Napie-
rał się jak dziecko i prosił, składając ręce. Witął dymiący
imbryk okrzykiem marynarzy Kolumba: „Ziemia! ziemia!”
Zdawało mu się, że na czarnej powierzchni oceanu dostrze-
ga zaraz z łodzi Charona i bielejący żagiel — znak nadziei.
Pochylony nad filiżanką widział już odległe kontury drugie-
go brzegu.

Zdarzyło się, że zasnął w fotelu. Płomyk świecy zapalo-
nej o wczesnym mroku rozwiewał się jeszcze w żółtym bla-
sku, który płynął przez szyby i w brunatnych cieniach po-
łykiwała ciemno-wiśniowa politura krzesel. Zwolna mrok
gęstniał w kątach gabinetu — w dogasającym świetle zimo-
wego słońca ostrzej rysowało się nad lichtarzem złote koło.
Blask świecy odbity od ram portretu Rousseau rozsypywał
po ścianie świetlisty pył obrzeżając czarny profil.

Cień zachwiał się, przesłonił na chwilę światło — i zapłonął. Oto głowa opadła na piersi, pochyliła się nad stołem i płomyk świecy liznął bawełnianą szlafmycę. W nikłym płomyku, w swądzie spalonej bawełny płonął świat: płonęły drzewa, morza góry. Pożar obejmował niebo gwiaździste i szerniało od dymu gwiazdy, jak ptaki krążące nad płonącym domem, opadały w ogień i noc. Ogień ogarniał gmach wzniesiony z takim trudem: Trzeszczały potężne wiązania pojęć — osmalone, żarem strawione więzie kategorii waliły się z hukiem — zapadały. W czerwieni i złocie, w burzych skrętach dymu, opuszczał dom, samotny i wygnany jak Król Lir.

*„Szalejcie wiatry, dmijcie, aż policzki
wam pękną! Dmijcie!*

*Wy płomienie z siarki
co ćmicie myśli, gońce gromów, które
dąb łupią w drzazgi, siwy włos mój spalcie!*

Pryskaj płomieniu!

*Ja was, żywioły, o dobroci brak nie winię,
jam wam królestwa nie dał nigdy*

*oto stoję
przed wami wasz niewolnik, biedny i słaby
bezsilny starzec! Przecież pomocnikami
zwę was służalczymi, że łączycie wasze
w górze zaczęte ataki przeciw takiej starej
siwej jak moja, głowie”.*



*...westchnął, twarz mu zbladła
i łez się zalał strumieniem
i pocałował zwierciadło
i cały stał się kamieniem”*

(Dziady)

U schyłku życia zapisał w swym dzienniczku:

*Dzień każdy ma swe troski,
A miesiąc dni trzydzieści.
Rachunek więc stąd prosty,
I rzec można pewnie
Że najszcześniejszy miesiąc
To luty.*

A luty miał dla Kanta już tylko dni dwanaście. Siódmego lutego — pisze Hasse — zaprosił nas po raz ostatni. Przyniesiono go do stołu, ale zaledwie przełknął łyżkę zupy prosił, aby go odniesiono z powrotem do łóżka. Był to już tylko szkielet i wymęczone ciało opadło na łóżko jak w grób. Jedenastego wieczorem oczy miał szkliste i twarz spokojną. „Spytałem go — opowiada Wasiański — czy mnie poznaje. Nie odpowiedział, lecz wydał wargi jak do pocałunku. Chwyliło mnie głębokie wzruszenie. Nie widziałem aby kiedykolwiek ucałował którego z przyjaciół. Raz tylko, na krótko przed śmiercią, uściskał swoją siostrę i mnie, ale niebardzo zdając sobie sprawę z tego co robi. Patrzyłem na ruch jego warg jak na pożegnanie przyjaźni; był to ostatni znak świadomości. Nadchodziły oznaki bliskiej śmierci. Około pierwszej nad ranem przyszedł jakby do siebie i mógł zbliżyć usta do szklanki, a że sił już nie miał aby płyn w ustach utrzymać, zamknął je ręką i gdy przełknął, rzekł wyraźnie: „es ist gut”. Takie były jego ostatnie słowa. Członki były już zimne i tętno przerywane, o czwartej nad ranem tętno nie było już wyczuwalne ani w ręku ani w nogach ani w szyi. O dziesiątej twarz zmieniła się wyraźnie: oczy były osłupiałe i zgasłe, bladość śmiertelna odbarwiła twarz i wargi. Około jedenastej zbliżyła się chwila krytyczna. Siostra jego stała w nogach łóżka, siostrzeniec przy wezgłowiu, a ja klęczałem obok, usiłując dostrzec jeszcze iskrę życia w oczach. Oddech stawał się coraz słabszy, zaledwie powiew lekki znać było na wargach”.

Minęła godzina jedenasta. Gdyby Wasiański zbliżył do ust Kanta otwartą kopertę zegarka aby złowić na niej ostatnie tchnienie filozofa, ujrzałby w niezmałconej oddechem powierzchni jakby w lustrze odbite, sklepione czoło, błękitne powieki, kościsty nos i zwiędłe wargi — twarz Emanuela Kanta.

OD AUTORA.

Założenia artystyczne niniejszego szkicu zawarte są w tytule: „Portret Kanta”. *Portret* — założenia są więc natury malarskiej, a że żywot Kanta przysłowiowo był bezbarwny i monotony, wyłoniły się nie małe trudności, skoro *ex definitione* trzeba było starannie unikać wszelkich poza malarskich elementów, takich jak analiza psychologiczna, interpretacja tekstu czy historyczny komentarz. *Ambicją tego szkicu była transpozycja pojęć na wyobrażenia*. Dlatego właśnie *Essay* poprzedzony jest obszernym wstępem w którym mowa jest o malarstwie. Malarskie założenia zdeterminowały nie tylko formy ale i objętość szkicu, który z konieczności musiał być zwięzły, aby go można było, podobnie jak obraz, ogarnąć jednym spojrzeniem. Stąd również wynikały uporczywe nawroty kilku przewodnich motywów. Zadaniem tych reprzyz było skrócenie całości w pamięci czytelnika: utrzymanie w aktualnej świadomości motywów gasnących w czasie lektury. Dlatego też powraca w zakończeniu zdanie, które znalazło się na wstępie. Perseweracja tematów (okno, ruiny zamku, zielona firanka) miała również na celu uwypuklenie tragicznej monotonii żywota królewieckiego myśliciela. Te same ambicje malarskie kazały do przesady niemal operować grą światła i cieniów. Ale jakże inaczej — chcąc się utrzymać w ramach założeń — p o k a z a ć zanik poczucia rzeczywistości, który dręczył filozofa? Dlatego właśnie drzewa za oknem porównane są do zacieków farby na wilgotnej jeszcze akwareli i Kant w lipowej alei podobny jest do „płaskich”, dwumiarowych rysunków egipskich.

Skoro o zaniku poczucia rzeczywistości mowa, warto może dorzucić kilka wyjaśnień. Neuropatia? Zapewne, w wątplym łożysku astenicznej budowy filozofa rysują się skomplikowane linie stłumionej psychonerwicy, łatwo uchwytniej w maniakalnej obrzędowości codziennego życia, w dziwactwach i niezłomnych nawykach. Psycholog z tomem klasycznego Janet'a w rękę z łatwością by odnalazł w biografii Kanta szereg cech, które składają się na zjawisko tzw. psychastenii i bez trudu mógłby sformułować kliniczne nazwy dla kantowskich „krytyk”:

La perte de la fonction du réel — dla pierwszej,
L'amour exagéré de l'honnêteté — dla drugiej
Les émotions sublimes — dla trzeciej.

Mógłby nawet, idąc tropem Kaliklesa, dostrzec w kantowskim kulcie prawa wyraz słabości, która uchyla się od walki, aby uciec w cień miecza i wagi niewidomej bogini.

Zapewne... być może... ale tych właśnie dociekań chciałem uniknąć. I to nie tylko dlatego, że psychologiczna geneza dzieła nie wyznacza jego obiektywnej wartości; że filozoficzna i kulturalna wartość krytyk leży poza zasięgiem ciekawości psychologa — to jasne. Kierowała mną przede wszystkim potrzeba zachowania dystansu i *taktu* wobec jednego z największych myślicieli. Dlatego też w kulminacyjnych punktach, kiedy mowa jest o godzinach filozoficznych rozmyślań, odwołuję się do Szekspira. Za wszelką bowiem cenę starałem się uniknąć tej nieznosnej amikoszonerii, której nie mogą się wyrzec autorzy „psychologicznych biografii”.

A zresztą, jeśli Kant był neurotykiem, to był neurotykiem, który potrafił przezwyciężyć swoją słabość. Wbrew pozorom nie był może nawet „dziwakiem”: „Dziwak — mawiał, sprzedając jakby dociekliwość swoich biografów — ma pułkę tylko człowieka z charakterem”. To, co w życiu jego ma cechu tak zwanego dziwactwa, to tylko „odpadki”, to jakby „uboczny produkt” potężnej pracy wewnętrznej, której owocem są „krytyki”. Bo Kant był przede wszystkim „człowiekiem z charakterem”. Jakże się myli Janet kiedy pisze:

„...quand on a vu beaucoup de scrupuleux on arrive à se demander avec tristesse si la spéculation philosophique n'est pas une maladie de l'esprit humain". — Kiedy się widziało wielu psychiatrów, którzy nie uszli losu swych pacjentów, można byłoby (idąc fałszywym tropem Janeta) zapytać się ze smutkiem czy i psychiatria przypadkiem n'est pas une maladie de l'esprit humain... Podobnie można byłoby „zdykwalifikować” i odkrycie Ameryki, jako że Kolumb był paranoikiem.

Nie mniej, osłabione poczucie rzeczywistości, które jest niejako ośrodkiem malarskich ambicji niniejszego szkicu, zasługuje na komentarz. Ale że Kant był metafizykiem, sięgamy do metafizycznych uzasadnień. Jeśli dręczyło go osłabione poczucie rzeczywistości, to jak przystało na filozofa, cierpiał nad zanikiem świadomości *z a s a d* na których wspiera się rzeczywistość. Kant nie był człowiekiem skłonym do zwierzeń, ale w zwierzeniach innego myśliciela (Th. Jouffroy) odnajdujemy dzieje „filozoficznego” zaniku poczucia rzeczywistości, które — jak się zdaje — rozjaśnić mogą interesujący nas problem. Jouffroy, szlachetny myśliciel, który w historii filozofii zasłużył sobie na *petitem* zaledwie odmierzoną notatkę, obok mniej lub więcej oryginalnych rozważań zostawił nam kilka przejmujących stron, godnych pióra Descartes'a. Warto je tu zacytować:

„Le jour etait venu où du sein de ce paisible édifice de la religion qui m'avait recueilli à ma naissance et à l'ombre duquel ma première jeunesse s'était écoulée, j'avais entendu le vent du doute qui de toutes parts en battait les murs et l'ébranlait jurque dans ses fondements.

Je n'oublierai jamais la soirée de décembre où le voile qui me dérobaît à moi-même ma propre incrédulité fut déchiré. J'entends encore mes pas dans cette chambre étroite et nue, où longtemps après l'heure du sommeil j'avais continué de me promener; je vois encore cette lune, à demi voilée par les nuages qui en éclairaient par intervalles les froids carreaux. Les heures de la nuit s'écoulaient et je ne m'en apercevais pas; je suivais

avec anxiété ma pensée qui de couche en couche descendait vers le fond de ma conscience et dissipant l'un après l'autre toutes les illusions qui m'en avaient jusque là dérobé la vue, m'en randait de moment en moment les détours plus visibles''.

En vain je m'attachais à ces croyances dernières comme un naufragé aux débris de son navire, en vain, épouventé du vide inconnu dans lequel j'allais flotter, je me rejetais pour la dernière fois avec elles vers mon enfance, ma famille, mon pays, tout ce qui m'était cher et sacré; l'inflexible courant de ma pensée était plus fort: parents, famille, souvenirs, croyances, il m'obligeait à tout laisser, l'examen se poursuivait plus obstiné et plus sévère à mesure qu'il approchait du terme et il ne s'arrêta que quand il l'eut atteint. Je sus alors qu'au fond de moi même il n'y avait plus rien qui fut debout. Ce moment fut affreux et quand vers le matin je me jetais épuisé sur mon lit, il me sembla sentir ma première vie, si riante et si pleine, s'éteindre, et derrière moi s'en ouvrir une autre sombre et dépeuplée, où désormais j'allais vivre *seul, seul* avec ma fatale pensée qui venait de m'y exiler et que j'étais tenté de maudire. Les jours qui suivirent cette découverte furent les plus tristes de ma vie. Dire de quels mouvement ils furent agités serait trop long. Bien que mon intelligence ne considerat pas sans quelque orgueil son ouvrage, mon ame ne pouvait s'accomoder à un état si peu fait pour la faiblesse humaine; per des retours violents elle cherchait à regagner les rivages qu'elle avait perdus; elle retrouvait dans la cendre de ses croyances passées des étincelles qui semblaient par intervalles rallumer la foi. Mais des convictions renversées par la raison ne peuvent se relever que par elle et ces lueurs s'éteignaient bientôt''.

I dalej:

„O'étaient des journées, des nuits entières de méditations dans ma chambre; c'était une concentration

d'attention si exclusive et si prolongée sur les faits intérieurs où je cherchais la solution des questions que je perdais tout sentiment des choses du dehors et que quand j'y rentrais pour boire et manger il me semblait que je sortais du monde des réalités et passais dans celui des illusions et des fantômes”.

Związek, jaki we wspomnieniach Jouffroy zachodzi między utratą wiary a *odwróconym*, jeśli się tak można wyrazić, poczuciem rzeczywistości, tak jest oczywisty, że nie warto go było podkreślać rozstrzelonym drukiem.

Racjonalista Jachmann zapewnia, że Kant był prawdziwym „wielbicielem Boga” (ein Gottesverehrer). Inaczej go widział Borowski, który mówi o utraconej wierze młodych lat. Tyle o tym pisano. Rozważano często uczciwie, często ze złą wolą treść jego pism i zestawiano wypowiedzi przyjaciół, ale jeśli się rozpatrzy styl Kanta to nie sposób odmówić słuszności *literackiej* ekspertyzie Heinego. „Wystarczy — pisze Heine — usłyszeć sposobem Kanta prowadzone rozważania o istnieniu Boga, aby się doznało szczególnego uczucia, którego doświadczyłem kiedyś w Londynie, w New Bedford, kiedym dostrzegł, że opuścił mnie mój przewodnik i że jestem sam w gromadzie szaleńców... Czy podobało mi się przeżuwać dowody egzystencji Bożej pokazać jak smutno jest nie wiedzieć o Bogu? Podobny był jednemu z mych przyjaciół z Getyngi, który po sumiennym rozbiciu wszystkich lamp w ciemnej ulicy Grohndorf, rozprawiał długo o użyteczności światła aby naocznie uzasadnić naszą bezradność.

Kto wie czy w zwierzeniach Jouffroy nie odnajdujemy zarysów zamierzanego przez Kanta dramatu? Może w wiecznie przesłoniętych oknach sypialnego pokoju szcękneły okiennice targnięte „wiatrem zwątpienia”, który wydymając żagiel zielonej firanki unosił wielkiego samotnika na ciemne rozlewiska, nieobrzeżone nieznany nawet łodem. Przeraźliwa samotność! Raz Boga nie tak jak o jż e ja i generał — obruszył się nie bez racji jeden z bohaterów Dostojewskiego.

Z zagadnieniami osłabionego poczucia rzeczywistości wiąże się drugi naczelny problem szkicu: *problem władzy*.

Więc jeszcze kilka słów: Kant zorganizował życie swoje tak, aby w najmniejszym stopniu stykać się z rzeczywistością, aby móc kierować tempem swego życia, jak Galileusz, który wyznaczył szybkość kuli stoczonej po równi pochyłej. Starał się unikać wszelkich kolizji z rzeczywistością, aby nie zburzyć kunsztownej struktury życia i systemu. Chciał nadać swemu życiu ten sam ład, który narzucił „bezpańskiemu” światu: mgłę, wiatrom, drzewom i chmurom. Zapewne, Kant wiedział, że nie jest panem deszczu i wiatru, który targał wiecznie zamkniętymi okiennicami sypialni i wiedział, że nie kieruje obrotami nieba nad Królewcem, Zapewne, ale — tym razem, psychologicznie rzecz ujmując (podkreślam: psychologicznie) skoro sprowadził kształt i rozwój świata do wielorakich form podmiotu, to w głębi duszy, podświadomie, nie mógł nie cierpieć nad nieprzewidywanym — w potocznym, życiowym sensie — układem zjawisk. Dlatego uschematyzował i ułożył tryb codziennego życia tak, aby żaden nieprzewidywany wypadek nie zburzył z góry ułożonej kolejności zdarzeń. Dlatego niepokoił go rozrost drzew za oknem i dlatego dręczony nocnymi koszmarami zanotował: *wystrzegać się złych snów*. „Wystrzegać się złych snów” — to tak jakby się powiedziało topoli: „uschnij”, a chmurze „rozpułń się”. Trzeba być zupełnie pozbawionym psychologicznego wyczucia aby w tej „ku pamięci” zapisanej notatce nie dostrzec żądzy władzy, która chciałaby regulować obroty ciał niebieskich i wykreślać linie lotu jaskółkom. I dlatego życie Kanta było prawdziwym dramatem: za dnia nie panował nad światem zewnętrznym — w nocy nie był panem własnych wyobrażeń. W chaosie rozprzężonych wyobrażeń był sam i samotny widział za oknem niepojęte cienie — powiewające ramiona drzew.

Inna rzecz przyjąć kantyzm w zakresie pojęć, inna rzecz uczuciowo zżyć się z kantyzmem. Inaczej współżyjemy z Kantem przy lekturze „krytyki władzy sądenia”, inaczej na spacerze, kiedy nie myślimy o kategoriach ale o zielonych stokach wzgórz, i połyskujących skrętach Izery. Nieuchwy-

nie zabarwiająca tło uczuciowa świadomość tego, że nadajemy oto drzewom zasadę ich egzystencji i że jesteśmy prawodawcami świata, odbitego w skrętach rzeki, daje tę szczególną radość, której w Moljerowskiej karykaturze doświadczył pan Jourdain, gdy dowiedział się, że włada prozą. Nie bez głębokiej racji Freud, mówiąc o podświadomości, odwołuje się do kantowskiej „rzeczy samej w sobie”.

Człowiek, twórca rzeczywistości zjawiskowej, z reguły odnajduje w sobie — podobnie jak Schopenhauer — tajemniczą *Ding an sich*, a leżąca pod nogami dolina Izery, polyskujące skrety rzeki, obłoki i góry — to świat nie tylko zorganizowany lecz i *stworzony* przez człowieka.

I dlatego tak trudno uwolnić się od pokus kantyzmu, jeśli się już raz spojrzało na świat oczyma Kanta a nie Świętego Franciszka. Na stronicach „Krytyki” krążą znaki zodiaku, krążą blaski i cienie; drzewa rosną, obłoki płyną i wody — poza ekranem schną łożyska rzek i próchnieją drzewa: rzeczywistość skazana jest na śmierć. A on zagłębiany w fotelu patrzy na ruiny zamku królewieckiego, na smukłe topole, na bezładne obłoki: wie, że gasną światła, że rozsypują się ruiny królewieckiego zamku i schną topole — wie, że zostały tylko jego dłonie pomnożone przez dłonie tych, którzy przewracają stronicę „Krytyki czystego rozumu”. Suche, starcze dłonie zasłaniają świat zieloną jedwabną firanką, zawieszoną nad oknem skromnego gabinetu.

Bouquéron 15. XII. 1941 r.

ODPOWIEDŹ NA LIST FRANCESCO

Kochany Francesco! Trudno, doprawdy, powiedzieć jak bardzo ucieszył mnie Twój list. Masz dopiero sześć lat i umiesz już pisać tak ładnie. Kiedy byłem w Twoim wieku — mały barbarzyńca — nie znałem jeszcze liter. Pomyśl jak bardzo jestem spóźniony w kulturalnym rozwoju! Musisz być dla mnie wyrozumiały. Nie krzyw się więc, jeśli w tym znajdziesz zniekształcone łacińskie cytaty wyjęte z dzieł Twych znakomitych rodaków. Cytowałem z pamięci! Książki, które zbierałem z taką miłością, strawił ogień. Myślę, że raczej ja zasłużyłem na ten los niż one. Została tylko pamięć nie zawsze wierna. Słowem: skarby mieczowi spustoszyli złodzieje i nawet pieśń cało nie uszła.

O ile ty jesteś szczęśliwszy! Ja uczyłem się łaciny w brzydkim północnym mieście a stronic „Eneidy” zaciemniały mi chmury płynące znad Bałtyku. Ty możesz czytać „Eneidę” na grobie Vergilego, pod niebem które nie jest „jak zmarzła woda”, pod niebem do którego tak blisko z Twojej ziemi. Możesz czytać „Eneidę” na grobie tego, który kochał „pascua, rura, duces”.

Tym bardziej cieszy mnie, że napisałeś Twój list w barbarzyńskim języku „zlikwidowanego” kraju — po polsku. Możesz powiedzieć o sobie teraz jak Owidiusz: „didici sarmatique loqui — Podziwiam Twoje zdolności językowe, bo nie wątpię że skreśliłeś ten list „ipsa manu”. Gdyby list Twój był tylko przekładem, gdyby jakiś barbarzyński skryba, który „profugus Laviniaque venit”, przełożył Twoją wytwor-

na łacinę na język polski, dodałbyś przecie wzorem Owidiusza: „si casu miraris aepistula quare alterius digitis scripta sit”. Cieszę się więc tym listem pisanym po polsku i oceniam delikatność Twoich uczuć: jako potomek Eneasza, fundatora Imperium Rzymskiego i trojańskiego emigranta, rozumiesz cierpienia uchodźców i współczujesz z nimi.

II.

Teraz, kiedy piszę te słowa, jest noc. Et iam nox umida coelo praecipitat — i schodzące gwiazdy skłaniają do snu. Nikt nie umiał pisać o nocy pięknej niż Virgiliusz. „Nox erat et placidum carpebant fessa soporem”, cisza zeszła na lasy i fale — o tej godzinie gwiazdy dobiegają połowy swej drogi, nieme są pola, stada i barwne ptactwo, które ma swój dom w krzewach i stawach przejrzystych, śpi teraz w cieniu, milczeniu, niepomne trosk...

„Ale serce i oczy nie radują się spokojem nocy”. Bo noc jest duszna, pełna niepokoju i oczekiwania. Nie zdziwiłbym się, gdyby ptactwo różnobarwne zatrzepotało się niespokojnie w gęstwinie krzewów i zmaciło spokojną powierzchnię wód, nie zdziwiłbym się, gdyby za oknem zamajaczył skrwa-wiony cień Hektora, którego widziałem w Warszawie.

„Była to godzina, w której sen, słodki dar Bogów, spowija nasze zmysły by ulżyć cierpieniu. Warszawa spała sub nocte. Zdawało mi się, że zczerniały nawet zielone krzaki bzu przed moim oknem na Saskiej Kępie i czarny był most Poniatowskiego, przerzucony nad połyskującym zuchwale Skamandrem.

Ach! — nie. Tego nie ma w „Eneidzie”. Słowa mi się płaczą. W „Eneidzie” jest tak:

„Była to godzina, w której sen, słodki dar Bogów, spowija nasze zmysły by ulżyć cierpieniu. Wydawało mi się nagle, że widzę smutnego Hektora z oczami pełnymi łez. Hektora takiego jakim go widziano ongi, z czołem we krwi umazanym i kurzu, z obrzękłymi od więzów nogami. Jakże zmieniony, jakże niepodobny temu Hektorowi, który rzu-

ciwszy ogień na flotę Greków, powracał okryty zbroją Achilla. Teraz okryty śladami chlubnych ran, które odniósł walcząc pod murami swego grodu, brodę miał zmierzwioną i włosy zlepione krwią. Wydało mi się że tak jak i on w łzach tonąc, zwracam do niego swe smutne skargi: „O chlubo Pergamu, opoko Trojan, z jakich to wybrzeży przypływasz Hektorze, zdawna oczekiwany. Po tylu pogrzebach, po zawodach tak gorzkich Troi i jej obrońców — w jakimże stanie Ciebie oglądam. Jakaż to ręka barbarzyńska znieważyła Twoje oblicze boskie i skąd pochodzą te rany?” „Ach — westchnęło widziadło na próżne żale nieczułe — uciekaj z kręgu płomieni, synu Syreny. Wróg jest w murach!”...

Kochany Francesco! Jako potomek Eneasza wiesz jak trudno jest mówić o klęsce. Nie każ mi, jak Dido ciekawa, „renovare dolorem”. Pozwól nie mówić o ostatnich dniach tego królestwa godnego pożałowania („lamentabile regnum”). Animus meminisse horret, serce drży na samą myśl, i gwiazdy schodzące skłaniają do snu...

...svadent cadencia sidera somnos sed si tantus amor casus cognoscere nostros — weź do ręki „Eneidę” i czytaj:

„Miasto, to istny obraz przerażenia i rozpacz, a choć dom Anchisa na uboczu stoi i drzewami otoczony — hałas staje się coraz bardziej przeraźliwy i słychać już straszny szczeł broni. Ze snu wyrwany, biegnę na szczyt pałacu i tam nadśluchuję uważnie. Tak — gdy pożar rozpętany przez wichry, pastwiska ogarnia, lub gdy potok wartki spływając z gór, pola zalewa, pustoszy plony, niszczy nadzieje rolnika i lasy w swych nurtach gwałtownych unosi — pasterz na szczycie skały nadśluchuje ze zdziwieniem i przyczyny hałasu dociec jeszcze nie może. Któż potrafi odmalować potworność tej straszliwej nocy? Któż skargi swoje z klęskami naszymi porówna? Runął gród prastary! Tysiące trupów piętrzą się wzdłuż ulic, na progach domów i świątyń. Żałoba wszędzie, przerażenie wszędzie i widmo śmierci. Żelazo dzieła ognia dopełnia. Ogień żarłoczny wiatrem gnany wznosi się ku szczytom pałaców i graży je w ponurych swych wirach”.

III.

Oto sława Eneasza — uchodźcy. Rozumiesz, kochany Francesco, cierpienia emigrantów i współczujesz z nimi.

Chciałbym Ci przypomnieć piękną eklogą Vergilego — czy pozwolisz? „Meliboeus: — O szczęśliwy Titirusie spoczywając pod wiażem cienistym wygrywasz sielskie melodie na twej piszczałce — my, wygnańcy z ziemi ojców, opuszczamy nasze słodkie sioła, opuszczamy ojczyznę! — ty spokojny pod gęstwiną liści uczysz lasy powtarzać imię pięknej Amarillis. Nie zazdroszczę ci twego szczęścia. Raczej mnie twoje szczęście zdumiewa, gdy mam przed oczami obraz owych klęsk, które spadły na naszą ziemię.

„— O jakże byłem ślepy! jakże często dąb rażony piorunem przepowiadał mi owo nieszczęście; nieraz z głębi spróchniałego pnia mówiła mi o nich wrona złowróbna.

„— Pójdziemy, jedni do Afryki skwarnej, drudzy do kraju Scytów, na Krete lub do Bretanii na krańce świata. Czyż będzie mi wolno kiedyś po długim wygnaniu powitać w uniesieniu rodzinne pola, ubogą strzechę mojej chaty ukrytą wśród kłosów, które były moim królestwem. Żołdak nieludzki dzierżyć będzie tę żyzną rolę! Barbarzyńca zbierze plon! Dla niego obsiałem moje ziemie! Idź teraz szczepić twoje grusze, o Melitocusie, idź podcinać winnice! Idźcie kozy, idź moja trzodo ongi szczęśliwa. Spoczywając pod zielonym sklepieniem nie będę was — zawieszonych na zboczu krzewami porosłej róży — gonił oczami. Odtąd już koniec pieśniom.

„Titirus: — Możesz tu przecie spędzić jedną noc na zielonym listowiu. Poddostatkiem mam owoców dojrzałych kasztanów i mleka”.

Dziękuję ci gościnny Titirusie.

Dziękuję, Ci uprzejmy Francesco, za Twój list.

IV.

„Umiem pisać piórem w zeszycie” donosisz mi w Twoim liście. Oto piękna umiejętność! Pielęgnuj ją, kochany Francesco. Sztuka pisanie coraz to rzadsza i nieżyczliwy czas grozi

jej upadkiem. Pisz piórem, kochany Francesco. Słowa pisane mieczem nie są trwałe. Pióro i zeszyt to prawdziwe fundamenty prawdziwego mocarstwa. Czy nie sądziłś, że na szczytach „mocarstwowości” stała Twoja ojczyzna wtedy, kiedy pod panowaniem mądrego władcy Vergili sławił pokój, pascua, rura, nie szczędząc pochwał pobożnym wodzom? Czyż dzieło św. Augustyna nie jest najpotężniejszą „ekspansją kolonialną”? Nie śmiej się. Rdza strawiła miecze, ale ani wiatr nie zniszczył pomnika Horacego ani bezsilne strugi deszczu. Oto rzetelne świadectwa mocarstwowości i ekspansji imperialnego dynamizmu. Były i wówczas dyplomatyczne i ekonomiczne wybiegi, a ziemia drżała, deptana żelaznymi stopami rzymskich legionów. Zszarzały dzieje dyplomatycznych podstępów, zatarły się w pamięci zbiorowej, a sławę swoją zawdzięcza Cezar nie czynom wojennym, ale składni. Wielu było wodzów rzymskich, wielu zdobywców, któż potrafiłby wyliczyć ich nazwiska? Toną w niepamięci! Ile wojen było, ilu wodzów, w latach ciemności i upadku, kiedy św. Augustyn zamknął oczy. Nikt nie zna ich nazwisk, bo żaden z nich nie umiał pisać tak pięknie jak Cezar. Nietrwałe są dzieje wojen — trwała jest składnia łacińska. Wiec cieszę się — że piszesz piórem w zeszycie.

Przed paru laty, w Paryżu, otrzymałem list pisany przez jednego z moich przyjaciół. „Niech się Pan nie troszczy o przyszłość kultury, — pisał, — kultura zawsze zwycięży, bo ludzkość nie może znaleźć szczęścia bez znajomości łacińskiej gramatyki. Przyjdzie taki czas gdy westchną władcy: „tylu ludzi zabiliśmy, tylu ludzi zamknęliśmy w obozach koncentracyjnych, a nie smakuje nam kawa po obiedzie, bo nie znamy łacińskiej gramatyki”.

Jeśli więc i Tobą, jak wszelkim stworzeniem, kochany Francesco, rządzi pragnienie szczęścia powtarzaj: rana, ranae, ranam, rana, rana. Poznaj zawiłość zdań czasowych: ubi, ut, ubi primum, ut primum, simul, simulac, simulaque, dum, donec, quod, ante quam, priusquam, cum... A przede wszystkim zapoznaj się ze strukturą zdań warunkowych, aby w nich nie było miejsca na oszustwa na szantaż, na kłamstwo.

Gramatyka łacińska istnieje poza czasem. Można wrócić do gramatyki łacińskiej nie mijając wieków, które ubiegły. Gramatyka łacińska jako przedmiot idealny istnieje zawsze.

Nie ma drogi powrotnej do Imperium Rzymskiego. Idąc przez wieki wstecz do cesarstwa, które było, nie można ominać św. Pawła — nie spojrzeć w straszliwą twarz skazańca. Struga krwi, która ścieka z jego odciętej głowy, wyznaczyła nieprzekraczalną granicę w dziejach Twojej ojczyzny. Gdybyś chciał lekkomyślnie przekroczyć tę kałużę krwi, zastanów się: droga na którąbyś wstąpił, prowadzi do piekła. Twój rodak, Francesco, cesarz Julian Apostata, który w drodze powrotnej, idąc do zmarłego Imperium ośmielił się przekroczyć tę granicę, upadł przebity włócznią św. Merkurego. Jego krew wsiąkła bez śladów w jałowy piasek wschodniej pustyni. Tragedia diabła leży w tym że diabeł nie tworzy — diabeł tylko naśladuje. To on, zagrożony osamotnieniem w swojej bezsile twórczej, chce ludzkość prowadzić wstecz przez wieki do stanu grzechu. To on zaludnia wyobraźnię zbiorową wizjami brodatych germańskich bogów, to on wciska między palce władców miedziany posążek z zatartym wizerunkiem cesarza rzymskiego — mówi: „spójrz! spójrz w pieniążek miedziany jak w lustro... jakże jesteś do niego podobny... twój zarys nosa... twój mocny podbródek... twoje czoło... To ty! Bądź tym, który był. Chodź! Zakryję ci oczy abyś nie patrzył w twarz rzymskiego skazańca, św. Pawła. Naprzód dwa są sposoby walki — prawem lub siłą. Pierwszy właściwy jest ludziom, drugi — zwierzętom: ponieważ pierwszy nie zawsze wystarcza, musimy uciec się do drugiego”.

Dzisiaj jak zwierzę! „...władca musi działać wbrew uczuciom ludzkim, wbrew litości, wbrew religii...”.

Idź! Idź krokiem rzymskim przez kałużę krwi, która przedzieliła historię Twego narodu!

Diabeł ma zapadłe policzki, smutne niespokojne oczy i zmierzwioną brodę. Czy wiesz, kochany Francesco, że byli ludzie wcale roztropni, którzy nazywali Macchiavela prawdziwym diabłem?

Ach! Kochany Francesco — jeśli Ci każą na lekcjach gimnastyki maszerować krokiem rzymskim — zmyl krok! Stwórz nowy ruch! Jeśli potrafisz przewyciężyć łatwość naśladowania, jeśli potrafisz stworzyć, nowy, twój, ruch ręki nowy, twój, ruch nogi, będziesz twórcą godnym tych, którzy podpatrzyli ruch Hermesa zapinającego swój sandał. Bądź twórcą, Francesco, nie naśladuj kroków rzymskich wojowników na lekcjach gimnastyki, bądź sobą i chodź własnymi ścieżkami — na tych drogach nie spotkasz kałuży krwi wylanej za prawdę i „dla odnowienia umysłu waszego”, jak pisał św. Paweł do Rzymian.

Piszę o piekle i diable bez obawy, że odpowiesz mi wzruszeniem ramion: jesteś dziecikiem i dlatego umiesz myśleć poważnie o rzeczach ostatecznych. Ale w Twojej dziecinnej wyobraźni diabeł ma, jak sądzę postać rogatego, koźlonogiego potwora. To popularne i sugestywne wyobrażenie dalekie jest od ohydneho pierwowzoru. Spójrz na papugę, Francesco, spójrz w jej starczą, smutną, niemal ludzką twarz. Czy nie przejmuję Cię grozą to monotonne zgrzytliwe echo twoich słów, czy nie przeraża cię ten żywy automat, który umie tylko naśladować? To on! To jego karykatura! To obraz tego tworu, który umie tylko odtwarzać. Jego ponury gwizd znaczy rytmy „rzymskiego kroku”, który prowadzi w przeszłość, w nicość, między zapadłe groby dawnych wojowników, między stosy żelaziwa, między zwały strawionych rdzą i strzaskanych hełmów.

Powtarzam: nie ma drogi powrotnej do cesarstwa rzymskiego. Struga krwi, która spłynęła ze ściętej głowy obywatela rzymskiego, św. Pawła, wyznaczyła nieprzekraczalną granicę w dziejach Twojej ojczyzny.

VI.

Nie ma powrotu w historycznym rozwoju narodów, podobnie jak nie ma powrotu w rozwoju jednostki. Cena, którą Faust zapłacił za powtórna młodość, była — nie wątpisz chyba o tym — stanowczo za wysoka. „Nie chciałbym ponownie

zaczynać życia mówi rozważnie stary Kato, — podobnie jak szybkobiegacz, który z mety z trudem osiągniętej nie chce być odwołany na start”.

Młodość, to „Primavera”, to świeżość róż włoskich prymitywów, to zieleń wzgórz, które patrzyły na męczeńską śmierć Kōsmę i Damiana. Tylko raz kwitną kwiatki św. Franciszka, twego patrona. Ale szczęśliwy kraj, który miał taką, młodość, taką wiosnę — może teraz oczekiwać w spokoju wizyty niebian którzy nawiedzili dom sędziwego Philemona i czcigodnej Baucis.

Czy pamiętasz tę legendę ateńską Owidiusza:

*Dicite juste senex, et femina conjuge justo
Digna quid optetis? Cum Baucide pauca locutus
Iudicium Superis aperit commune Philemon,
Esse sacerdotes, delubraque vestra tueri
Poscimus...*

Szczęśliwy Philemon! Szczęśliwa Baucis! Szczęśliwi starcy, którym Bóg powierzył straż swojej świątyni. Oto nagroda za piękną starość: kapłaństwo zamiast smutnej posady kościelnego dziadka.

Czy nie myślisz, że starość jest czymś pięknym i godnym szacunku? Ile piękna, ile godności w spokojnej dumie starca! Trzeba tylko cenić swój wiek i umieć go nosić. Jakże wstrętne byłby w oczach Katona starzec, który by dla upozorowania młodości włożył krótkie majtki i naśladować niesforność zielonych lat — zza rogu ulicy wybijał z procy szyby sąsiadom. Nie wierz tym, którzy mówią o „dynamizmie”, kochany Francesco. Czy nie widzisz w tym „dynamizmie” czegoś sztucznego, papierowego naśladowania młodości, czy nie widzisz strachu i pośpiechu bezbożnego starca, który zna granice ludzkiego życia, a nie widzi innego życia poza tym jakie prowadził na ziemi? Oto zachłanna łapczywość weneckiego kupca i przewrotność złośliwego Volpone, rozmiłowanego w ziemskich radościach. Czy nie myślisz, że w starczym niepokoju, w gorączkowym szukaniu minionej młodości jest coś z przeżenienia tego wiekowego filozofa-ateusza, o którym nieroz-

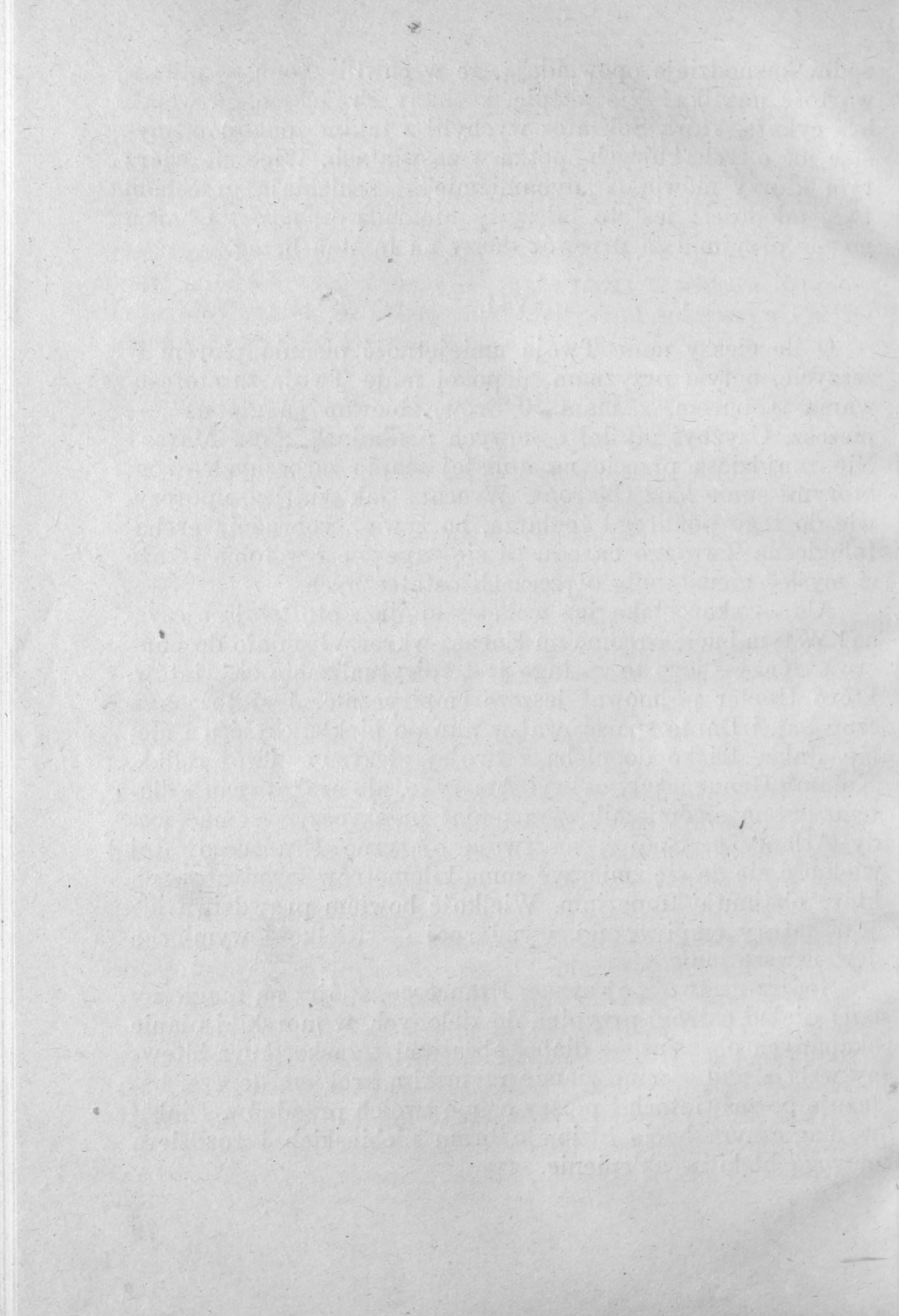
sądni kaznodzieje opowiadają, że w chwili zgonu wypił za-
wartość nocnika? Nie wątpię, kochany Francesco, że wołał-
byś cykute, którą Sokrates wychylił z takim spokojem, my-
śląc już o tych, których spotka w zaświatach. Więc nie wierz
tym którzy mówią o „dynamizmie” i schlebiają grzechom
twojej młodości: jest to fałszywy pieniądz — nawet Charon
go nie przyjmie za przewóz duszy na tamten brzeg.

VII.

O ile cieszy mnie Twoja umiejętność pisania piórem w
zeszycie, o tyle przyznam niepokoju mnie Twoje zaintereso-
wania globusem. „...mam 40 lirów, zbieram na globus” —
piszesz. Czyżbyś myślał o nowych podbojach, synu Marsa?
Nie znajdziesz przecie na kulistej mapie mrocznych dróg,
którymi sunie łódź Charona. Wracam, jak widzisz, uporczy-
wie do tego ponurego żeglarza, bo żywa wyobraźnia escha-
tologiczna Twojego narodu tli się zapewne i w tobie i każe
ci myśleć nieustannie o rzeczach ostatecznych.

Ale — skoro taka już wola — spójrz: oto twoja ojczyz-
na! W tym bucie ogromnym Eneasza wkroczył śmiało do pań-
stwa cieni — jego to zasługą jest spirytualizacja zaświatów,
które Homer pojmował jeszcze empirycznie. Jest to magi-
czny but, i Dante spacerował w nim po piekle, czyśćcu i nie-
bie. Jakże blisko do nieba z twojej ojczyzny. Twój rodak,
Kolumb Genuenczyk, odkrył Amerykę, ale szukał raju i dla-
tego butem siedmiomilowym umiał przekroczyć ciemne wo-
dy Atlantyku. Spójrz, na twoją ojczyznę Francesco! Jej
wielkość nie da się zmierzyć sumą kilometrów kwadratowych
które obejmuje Imperium. Wielkość bowiem prawdziwa nie
jest natury empirycznej, wymiernej — wielkość wymierna
jest zawsze mała.

Spójrz na twoją ojczyznę, Francesco, spójrz na magiczny
but: diabeł ostrogi przypina do zielonych, w morskiej pianie
skapanych obcasów — diabeł obcasami trzaska, kurz bitew-
ny wzbija nad ziemią, ziemię rzymskim krokiem depece, ha-
łasuje po zaświatach i płoszy cienie twoich przodków. Diabeł
w magicznym bucie idzie do bram niebieskich i rozdziera
ostroga błękitne sklepienie.



O NIENAWIŚCI, OKRUCIENSTWIE I ABSTRAKCJI

I.

Nienawidzę totalizmu i za to także że nauczył mnie nienawiści. Nienawiść do zła jest — zapewne — uczuciem „słusznym” i „sprawiedliwym” ale czy można bezkarnie wyzwać słuszną nawet nienawiść? Czy uczucie to — raz rozpetane — przez samą swoją dynamikę nie wyzwala w nas równocześnie innych uczuć — potępionych? Worka w którym Eol zamknął wiatry, nie można otworzyć po to tylko by jeden jedyny pomyslny wiatr uderzył w żagle. Złe wiatry wyrrywają się równocześnie z otchłani magicznego worka strzepią żagle i mącą powierzchnię wód.

„Nienawidzę”. „Mam prawo do nienawiści”. Budzę się co dzień z tym uczuciem.

Wiatr zwał ze stołu ćwiartkę papieru. Schylam się. Ileż gniewu w tym ruchu. Nie! — to nie zwykle zniecierpliwienie, „agacement”, na które nikt dziś pozwolić sobie nie może. W każdym ruchu, w każdym słowie dochodzą do głosu potępione, na dno świadomości zepchnięte uczucia, wyzwolone przez prawo do nienawiści.

Totalizm zniekształca nie tylko dusze swoich wyznawców — zatruwa nienawiścią, a więc zniekształca i dusze tych, którzy usiłują mu się przeciwstawić, tych którzy podjęli z nim słuszną i sprawiedliwą wojnę. Jest to żelazny wiek ludzkości:

...fugere pudor verumque fidesque

In quorum subiere locum fraudesque dolique

Insidieque et vis et amor sceleratus habendi

Jest to żelazny wiek ludzkości i skrwawiona bogini Pallas — potrząsa chrześzczącą zbroją.

Tragizm leży w tym, że nienawidzę, że jestem zatruty, że cierpię nad tym — i że dumny jestem z nienawiści, która chroni mnie od grzechu „letniości”.

II.

Ci co z rąk gniewnej bogini przyjęli chrześzczący oręż, ci co walczą, wolni są od grzechu nienawiści. Sublimują ją w walce. Ale jakże straszny jest los jednostek i narodów skazanych na bezczynność. Niesublimowane uczucia zniekształcają osobowość, deprawują i zaprawiają sadyzmem wyobraźnię. Prawo do nienawiści wyzwala sadyzm i drapuje go w tożę kodyfikatora.

Ci co skazani są na bezczynność — w sensie walki bezpośredniej — mogą znaleźć ratunek w cierpieniu. Cierpienie jest nie tylko ratunkiem — jest obowiązkiem tych co nie walczą.

„Uspokój się. Cierpienie twoje nie zmieni biegu historii, i dlaczego zaraz łamać przysłowiowe krzesółko?” — tak mówią obserwatorzy zdarzeń”...

Tchórzostwo, wygodnictwo moralne i megalomania.

Roi się od tych zaestetyzowanych komiwojazerów intelektualnych, od tych intelektualnych subiektów, którzy „pracują w kulturze”, tak jak się pracuje w towarach „łokciowych”, z metrem składanym w kieszeni, z ołóweczkiem za uchem. Chcą czytać „wojnę”, tak jak się czyta książkę, zaznaczając na marginesie paznokciem „ciekawsze” fragmenty. Sprawy tego świata sądzą z wysokości swego pseudointelektualizmu. Im więcej obojętności na sprawy tego świata, tym więcej dumy, tym więcej zarozumiałości. Ci ludzie dumni są z tego, że w mieście spalonym nie trupy widzą, ale stokrótkę między niedopalonymi zeczerniałymi belkami. A potem ze stokrótką w butonierce spacer po świecie w poszukiwaniu nowych „interesujących” objawów szaleństwa. Bo to co dla nas jest walką o zbawienie, dla nich jest mniej lub więcej ciekawym obłędem.

Czy chcą zbawić duszę, czy bawić duszę?" Ale co zrobimy z tymi, co umarli za życia, co nie należą ani do przeszłości, ani do współczesności, co nie są ani poganami, ani chrześcianami?" (Péguy).

Ci, co z rąk gniewnej bogini nie otrzymali chrześzczącej zbroi, ci co skazani są na bezczynność, muszą cierpieć, aby cierpieniem oczyścić się z grzechu nienawiści, aby brać udział w dramacie, który się rozgrywa. Jeśli już — siłą rzeczy — są widzami, niech będą jak widzowie średniowieczni, którzy na widok Heroda w jasełkach wołali: „Powieś go, powieś!”. Musimy uwierzyć w rzeczywistość jasełek, na które zwołał nas czas, musimy uwierzyć w realność śmierci z kosą, która przechadza się wśród stokrotek i popiołów. Musimy uwierzyć w realność Heroda i wołać: „Powieś go — powieś”.

— Powieś go!

I dlatego dumny jestem z nienawiści, która mnie zatrutą, i modłę się o cierpienie, które by oczyściło mnie z grzechu nienawiści.

III.

„Obserwatorzy życia” operują często argumentami historyzmu. Historyści mają czas. Mierzą czas wiekami: „tendencje dziejowe dojrzewają, giną, ustępują miejsca innym, i tak, mutatis mutandis, rozwija się ludzkość. I dalej: jest szczególna megalomania w przeświadczeniu że czas, w który zostaliśmy uwikłani, jest właśnie ważny, ostateczny, że nosi na sobie piętno eschatologii. A więc... uspokój się, cierpienie twoje nie zmieni biegu historii, i dlatego zaraz łamać krzeselko?”.

Chrześcijanie nie mają czasu, stoją wobec wieczności, ale czas mierzą tą skromną ilością lat, które mają wypełnić w życiu doczesnym. Chwila, w której żyję, jest istotnie najważniejsza: jedynie w tym wąskim wycinku czasu dysponuję sam sobą, mam wolność wyboru między dobrem a złem. Gdy przekrocze wyznaczone mi granice, znajdę się wobec sądu, który nie zna omyłek. Będę zawieszony między zba-

wieniem, a potępieniem. Czyż chwila, w której żyję, działam, nienawidzę i cierpię, nie jest najważniejszym momentem w dziejach i czy nie warto złamać przysłowiowego krzesła?

Argumenty historyzmu są często podbudową pod teorię „beau geste”. Jakże by to było pięknie na ławce oskarżonych w dolinie Józefata spokojnie przetrzeć szkła okularów i z ciekawością spojrzeć w oczy Ostatecznemu z Sędziów. Sen ten często nawiedzać musi „obiektywnych obserwatorów życia”. Byłby to „beau geste” godny szubienicznika z opowieści Brantome’a — czy śmierć wybrać, czy brzydką kobietę.

Wielbiciele „beau geste’u”, estetyści z argumentami historyzmu w kieszeni, zdają się zapominać o jednym: można oto spokojnym ruchem przetrzeć szkła, spojrzeć w oczy Ostatecznemu z Sędziów — i wyczytać w nich potępienie.

Więc warto — warto złamać przysłowiowe krzesło: nienawidzieć, cierpieć i ustrzec się grzechu letniości.

IV.

W argumentach historyzmu czai się okrucieństwo. Relatywistyczny historyzm prowadzi często do zimnego pięknoduchostwa. Historyzm racjonalistyczny typu Hegla prowadzi do okrucieństwa. Nie Tamerlan, nie markiz de Sade ale Hegel był największym okrutnikiem jakiego znają dzieje. Hegel ze swoim abstrakcjonizmem, ze swoją bezosobową konstrukcją dialektycznego rozwoju. Jednostka to tylko kurz, osadzający się na wypolerowanych trybach historycznego arytmometru. To tylko kurz, który się zmiata niedbalym ruchem ręki. „Nie nie wysusza serca tak jak abstrakcje” (Napoleon). A w wojnie dzisiejszej ściera się właśnie abstrakcja zbiorowości z rzeczywistością jednostki.

Roślina, która dojrzewa, zsyca się, traci zielen, ale równocześnie obnaża swój kościec spleciony z trwalszych włókien i wydaje nasienie. Wojna dzisiejsza nie jest tak barwna, jak wyprawy Napoleona, które należą jeszcze do

cyklu awanturniczych wojen trojańskich. Ale wojna dzisiejsza jest bardziej zasadnicza. Właściwe cele i motywy działań wojennych stają się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej uchwytnie. W subtelnej tkaninie dziejowej spleły kolorowe nici, którymi wyszyto hełm Achillesa i dzieje wypraw Argonautów. Barwne włókna zetlały, wykruszyły się — odsłoniła się mocna kanwa ideowa. Bo wojny nie prowadzi się ani o naftę, ani o Helenę, ale o pogląd na świat. Nafta, to tylko potężny środek w wojnie, która się toczy o koncepcję życia, o koncepcje które chce się narzucić, których chce się bronić. Ci co by twierdzili, że w rozgrywkach o Turcję chodzi wyłącznie o pozycje strategiczne i gospodarcze, byłiby równie śmieszni, jak ci co w manewrach von Papena chcieliby widzieć zabiegi o rękę Heleny trojańskiej.

Jak wiek homerycki, który stworzył mit wojny o kobietę, podobnie wiek XIX stworzył mit wojny o naftę (1). Pod pozorem „odkłamania” dziejów usiłowano w nas wmówić, że podstawą przemian dziejowych są wartości gospodarcze. Oczywiście, pod pozorem odkłamania załgano historię: marksizm streszczający się w formule „byt kształtuje myśl”, usiłuje dziś właśnie, wbrew własnej zasadzie, kształtować rzeczywistość według abstrakcyjnych wzorów marxowskiej... myśli; kształtować rzeczywistość z bezmiernym okrucieństwem.

Powtórzmy więc: wojen nie prowadzi się ani o zboże, ani o naftę — nafta jest tylko koniecznym, potężnym środkiem w wojnie, która się toczy o taki a nie inny pogląd na świat, o taką a nie inną koncepcję życia. W przemianach dziejowych, w które zostaliśmy uwikłani odsłoniło się teoretyczne podłoże walk gospodarczych i zbrojnych. Jesteśmy uwikłani w wojnę, która toczy się między rzeczywistością i abstrakcją — między jednostką a zbiorowością. I dlatego ta

(1) Mogłby ktoś złośliwie zauważyć, że Achilles antycypuje w «Iliadzie» materialistyczną interpretację wojny. «Jam tu nie przyszedł gwoździ Trojan kopijników, bo mi nigdy nie brali ni wołów ni koni» — mówi Achilles wściekły na Agamemnona, ale wiemy przecież, że cała afery; t.j. «nonbelligerance» Achilla rozpętała się z powodu Bryzeidy. Ładnie zreztą Achilles wyszedł na neutralności.

wojna jest tak okrutna. I dlatego tak ważna. Bo tylko jednostka jest rzeczywista, tylko jednostka jest nieśmiertelna — tylko przed nią otwarta jest wieczność. Zbiorowość — rasa, naród, klasa — może być długowieczna, nigdy — wieczna. Dzieje każdej zbiorowości kończą się u wrót doliny Józefata.

V.

Wróćmy do okrucieństwa, do innej — niż dialektyczna — formy abstrakcyjnego sadyzmu.

„Zabawne słowo: „człowiek”, — pisał przed laty de Maistre, obłąkany. Wyznawca obłąkanego nacjonalizmu, — zabawne słowo „człowiek”! Nie spotkałem nigdy człowieka. Spotykałem tylko Włochów, Rosjan czy Francuzów”. Dla de Maistre’a i szkoły, do której należał autor „Pochwały kata”, jednostka była fikcją — rzeczywistością była zbiorowość: naród (2).

Oto fragment z „Wieczorów petersburskich” de Maistre’a:

„Nie wątpię, Panowie, że zbyt jesteście wdrożeni w rozmyślenia, by nie zdarzyło się wam rozmyślać o KACIE. Czymże jest ów niepojęty stwór, który wybrał zawód dręczenia i uśmiercania swoich bliźnich, mając tyle zawodów popłatnych do wyboru, dających pole sile i zręczności. Jego serce, jego mózg, czyż są podobne naszym mózgom, naszym sercom? Czy nie zawierają nic szczególnego, i obcego naszej naturze? Co do mnie nie umiem o tym wątpić. Jest zewnętrznie podobny do nas; rodzi się tak jak my, lecz jest istotą niezwykłą i na to by się znalazł wśród rodu ludzkiego, potrzebny jest dekret szczególny, „fiat” siły stwórczej. Został stworzony, jak świat.

(2) Mówię o t.zw. szkole «tradycjonalistów». Francja, która w dziele Pasteura nauczyła leczenia wścieklizny przez szczepienie zmniejszonych dawek groźnej choroby, dzięki szkole «tradycjonalistów» uwolniła się od wszelkich przerostów nacjonalizmu. Ten zastrzyk wścieklizny, zastosowany w pierwszej ćwierci XIX wieku okazał się — jak widzimy — zbawienny w skutkach.

Rozważcie czym jest w opinii ludzkiej i spróbujcie zrozumieć czy może być nieświadom tej opinii i czy może jej stawić czoło. Zaledwie władza wyznaczy mu mieszkanie, a już inne domostwa odsuwają się aż tracą je z oczu. Wśród samotności, wśród próżni wytworzonej wokół siebie, żyje sam ze swą samicą i małymi, które uczą go głosu ludzkiego. Gdyby nie oni rozpoznawałby tylko jęki.

„Dano już znak ponury; służalec prawa puka do jego drzwi — wyrusza, przybywa na plac publiczny, wypełniony tłumem, stłoczonym i drżącym. Rzucają mu na pastwę truciela, ojcobójcę lub świętokradcę: chwytą go, rozciągają, wiąże na krzyżu poziomym, podnosi rękę. Nastaje cisza przeraźliwa i słychać jedynie chrzęst kości trzaskanych drągiem i wycie ofiary. Odwiązuje ją, niesie na koło: połamane członki płaczą się w szprychach, głowa zwisa, włosy jeżą się, a usta otwarte jak czeluść wyrzucają krwawe słowa, które wzywają śmierci. Skończył — serce mu bije, ale to z radości; jest zadowolony z siebie, mówi: „nikt nie łamie kołem lepiej niż ja”. Schodzi: wyciąga okrwawioną rękę, a sprawiedliwość rzuca mu z daleka kilka sztuk złota. Unosi złoto, krocząc między szpalerem ludzi, którzy usuwają się ze zgrozą. Zasiada za stołem i je. Potem do łóżka — spi. — Nazajutrz, budząc się nie myśli zgoła o tym co robił wczoraj. Jestże człowiekiem? Tak: Bóg przyjmuje go w swoich świątyniach i pozwala się modlić. Nie jest zbrodniarzem, a przecież żaden język nie potrafi powiedzieć, że jest cnotliwy, uczciwy, godny szacunku. Żadnej moralnej pochwały nie możnaby było znaleźć, bo każda pochwała zakłada jakieś stosunki z ludźmi — kat nie ma żadnych.

„A jednak wszelka wielkość, wszelka władza, wszelka dyscyplina wspierają się na oprawcy. On jest zgrozą i więzią społeczeństwa. Odbierzcie światu tego niepojętego wykonawcę sprawiedliwości, a chaos zajmie miejsce ładu, zwałą się trony i runie społeczeństwo. Bóg, który jest twórcą władzy jest też i twórcą kary — rzucił naszą ziemię między te dwa bieguny”.

Gdy tłumaczyłem tę „Pochwałę kata”, miałem wrażenie, że mam palce poplamione krwią. Trzeba zanalizować ten

fragment niezależnie od całej konstrukcji teoretycznej, rozwiniętej przez de Maistre'a, niezależnie od wiary i historyzmu, który był podstawą szkoły „tradycjonistów”. Trzeba przeczytać ten fragment tak jak się czyta wiersz, trzeba go zanalizować stylistycznie, by dotrzeć do źródeł twórczości de Maistre'a. Tym źródłem jest sadyzm. Gdyby było inaczej, fragment ten nie miałby tej potęgi wyrazu, nie był by tak mocny artystycznie. Zdania są „napięte” do ostateczności; lada chwila, a słowa wyłamują się z reguł składni jak ramiona skazańca ze stawów. Spoza maski tzw. „wyższych racji”, spoza konstrukcji pojęciowej teoretyka nacjonalizmu, wyłania się twarz sadysty. Teraz już rozumiem dlaczego de Maistre pisał gdzie indziej o przeróżnych metodach chłosty i nie zrównanych zaletach rosyjskiego knuta: dla de Maistre'a jednostka była fikcją. „Przedziwne słowo: — „człowiek!” Nie spotkałem nigdy dotąd człowieka!

VI.

Największy błąd w ocenie człowieka popełniamy wtedy, gdy chcemy w nim włożyć istotę albo z gruntu dobrą albo z gruntu złą.

(Vauvenargues).

„Teoria kata”, która w oprawcy widzi metafizyczną podstawę ładu na tym świecie, jest wyrazem pesymistycznej oceny jednostki. Człowiek jest słaby, tworzy prawa po to aby je łamać. Człowiek jest zły i dlatego trzeba nim rządzić żelaznym drągiem. Ta miła sercu de Maistre'a mądrość dyktatorów jest odreagowaniem na osiemnastowieczne, optymistyczne złudzenia w ocenie jednostki. Człowiek „z natury” dobry i zdolny do stanowienia o sobie, olśniony rolą prawodawcy, zajął się nie sobą ale sumieniem bliźnich i z dzieciną radością pociągnął za sznurek od gilotyny. Człowiek jest zły — rozumował — sądząc zresztą po sobie — de Maistre, wielki mistrz francuskiej kontrrewolucji. Człowiek jest zły

dlatego ...że myśli. Intelpekt szyje koncepcję „na wyróst”, rozwija w jednostce przeświadczenie o jej rzekomej wielkości i kupie gnoju, którą jest człowiek, przypisuje boskie kompetencje. Rozum jest źródłem wszelkiego zła, twierdził de Bonald, starszy „kolega” filozoficzny de Maistre’a. „Grecja, ongi naród atletów, upadła przez uprawę filozofii”...

Upadła! Z wyżyn stadionu sportowego na niziny akademii! Tu wyłania się nowe przeciwstawienie: antynomia instynktu i myśli. Kto myśli — ten się waha; kto się waha — ten jest słaby. Jednostkowemu z natury swej intelektowi należy więc przeciwstawić siłę zbiorowego instynktu, który determinuje rozwój społeczeństw i jednostek.

Tak zarysowują się trzy klasyczne antynomie, nierozłącznie związane z zagadnieniami totalizmu, z zagadnieniem jednostki i zbiorowości:

optymizm — pesymizm
 intelekt — instynkt
 wolność — konieczność.

Totalizm opowiada się za zbiorowością w imię instynktu powszechnego jako źródła siły, w imię determinizmu jako nieuchronnej konsekwencji niezmiennych cech rasowych, w imię pesymizmu w ocenie indywidualnej wartości człowieka.

Podsumujmy: zbiorowość, instynkt, determinizm, pesymizm, to podstawy tej koncepcji życiowej, z którą jesteśmy w wojnie. Taka jest trwała kanwa dziejowa. Śledząc drogi wybiegów dyplomatycznych i spekulacji gospodarczych gubimy się tylko w zawiłych ściegach krzyżowych tkaniny historycznej.

VII.

Rozmowa Sokratesa z Kalliklesem, doprawdy, ważniejsza jest od tych rozmów, które przeprowadził niedawno w Europie delegat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Trzeba przyznać że Kallikles, jak przystało na greckiego „degenerata” to „pan całą gębą”. Nie mam, niestety, pod ręką „Gorgiasza”, aby rozwinąć cały bezmiar olśniewającego chamstwa, którym grecki sofista czaruje po dziś. Jest pewna wielkość w jego oświeconej brutalności, pewna wzniosłość w jego nibiliźmie. Nietzsche, arogancki i pozbawiony smaku uczeń Kalliklesa, to po prostu smarkacz wobec greckiego mistrza, który na polach elizejskich wali zapewne nadczłowieka linijką po łapach. Jak przystało na nauczyciela. I z całym poczuciem humoru. Kto wie czy przede wszystkim tym poczuciem humoru Kallikles nie góruje nad Nietzschem. Humor strzeże od hysterii i sprowadza rzeczy tego świata do właściwych wymiarów. Jakże nisko upadło (nawet!) chamstwo. Jakże się zdegenerowało nieprześwietlone poczuciem humoru i smaku. Wyobraźmy sobie Kalliklesa na premierze opery wagnerowskiej — oszalałby ze śmiechu.

Sokrates jeset intelektualistą: dobrze sądzić, to znaczy dobrze czynić. Wiedza i cnota, to jedno.

Kallikles bawi się, ziewa, rozumuje, wreszcie wybucha: Bujne, szerokie życie bez hamulców i pana nad sobą, to dobro, to cnota, Reszta to błyskotki i zabawki. A kto by się filozofią zajmował, kije dać takiemu jegomościowi, mój Sokratesie” (3). Intelkt, to broń słabych. A słabych kopie się i depce. Iść za żądzą, za popędem, to wielkość, to dobro. „Bo człowiek — mówi Kallikles — podobnie jak inne zwierzęta...”.

Arystotelesowska definicja człowieka jako zwierzęcia rozumnego jest jakby kompromisowym rozwiązaniem sporu. W istocie nie jest to „biały pokój” i palmę zwycięzcy otrzymał Sokrates: człowiek jest gatunkiem rodzaju „zwierzę”, lecz rozum jest tzw. różnicą gatunkową, „formą” która go różni od zwierząt.

Ale spór trwa. Oto pilni uczniowie Kalliklesa poprawili mistrza: doświadczenie historyczne i psychologiczne wykazało, że jednostka, taka jak ją grecki sofista pojmował —

(3) I ten szczyt chamstwa: „Ja ciebie nawet lubię — mój Sokratesie »...

bez hamulców i pana nad sobą nie może znieść dynamiki własnych pragnień — ginie, lub zaczyna... myśleć.

I dlatego pilni uczniowie Kalliklesa przenieśli akcent ze „słabej” jednostki na „mocną” (bo wolną od wyrzutów sumienia) zbiorowość. Pojęcie nade człowieka zastąpiono w ostatnich czasach pojęciem nadnarodu.

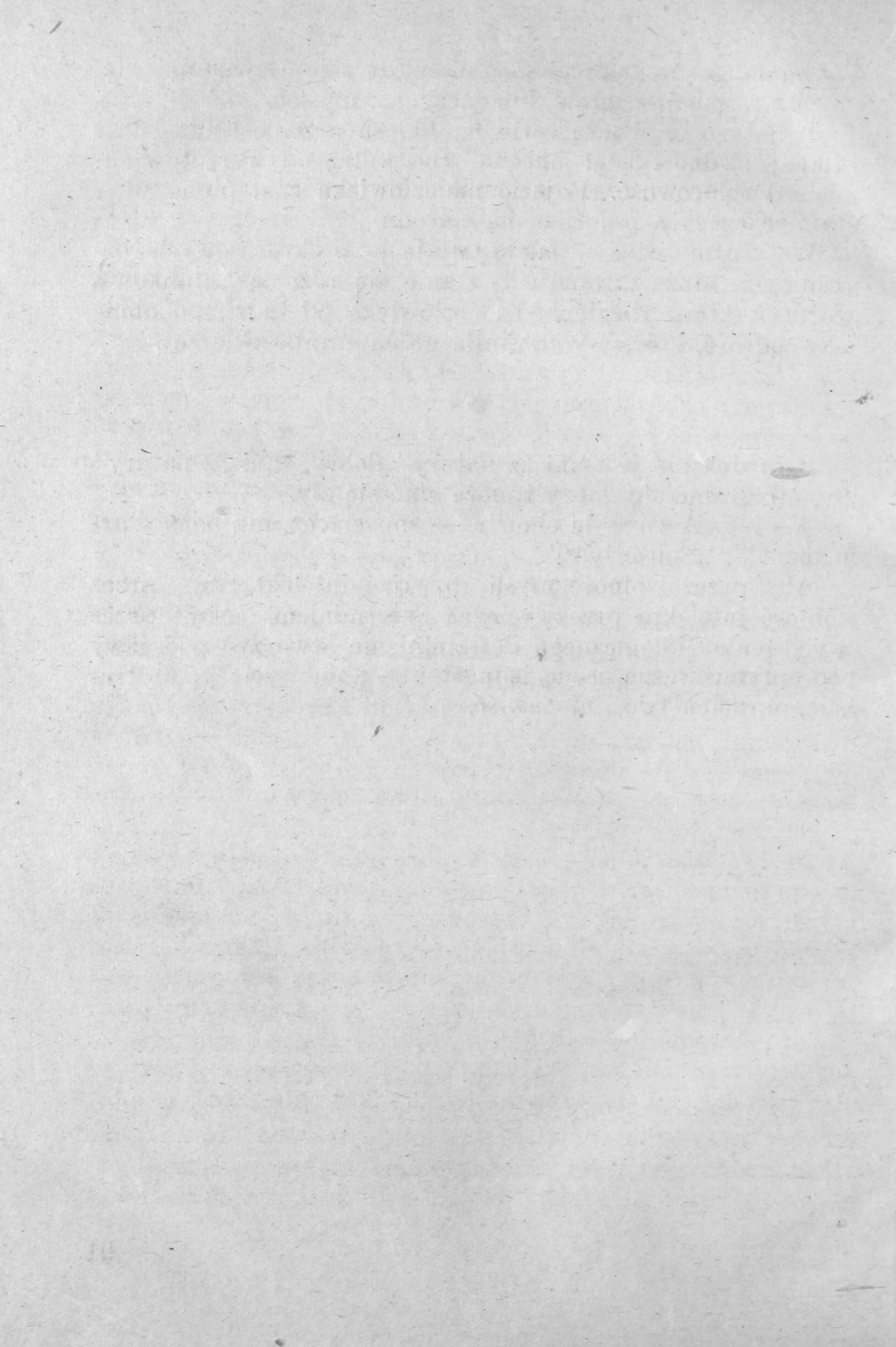
Wchodzimy więc — jak się zdaje — w okres nowych rozgraniczeń. Może „wolność” stanie się różnicą gatunkową, „formą”, która różnić będzie człowieka od ludzi, podobnie jak mądrość, która wyodrębniła go ze świata zwierząt.



Człowiek nie jest ani „z natury” dobry, ani „z natury” zły. Może stać się dobry i może stać się zły.

A więc „A vous de choisir — souscrivez aux bons d'armement!”. „Souscrivez”.

Aby przez wolność myśli rozwijać intelekt, aby przez wolność intelektu przewycięzać determinizm. Aby przez zwyciężenie biologicznego determinizmu stworzyć podstawy pod optymistyczną ocenę jednostki — aby zwyciężyć abstrakcję, okrucieństwo i nienawiść.



M Y Ś L I O W O J N I E

„Zawleczeni w wir tych wojennych czasów, niedostatecznie poinformowani, bez dystansu, który pozwoliłby powziąć sąd o dokonanych już i mających nastąpić przemianach, bez wylotu na przyszłość, nie możemy zrozumieć dokładnego znaczenia doznań, które nas osaczają i nie możemy zdać sobie sprawy z wartości sądów, które formułujemy. Wydaje się, że nigdy zdarzenie żadne nie wyniszczyło tak dalece ojcowizny, która jest wspólnym dobrem ludzkości, nie zmąciło umysłów i nie obniżyło tego co wzniesiono. Nawet wiedza straciła swoją bezstronność. Antropolog chce wykazać degenerację i rasową niższość przeciwnika, któremu stawia diagnozę umysłowych zaburzeń”.

Tak pisał — bodajże w roku 1916 Zygmunt Freud i taki jest tok jego rozważań:

Cierpienie jest zapewne biologiczną i psychologiczną koniecznością. Jest czymś równie nieuniknionym jak i niewiść, która draży sumienia, jak różnorodna ocena wartości — jak wojna. Pogodziliśmy się już z jej koniecznością. A przecież na zasadzie poszanowania *prawa* oparta jednostka, nie może się pogodzić z wojną i nie może się dziś oprzeć uczuciu głębokiego *rozczarowania*. Zorganizowane w państwa narody wyznaczyły jednostkom, które w skład ich wchodzi, szereg twardych ograniczeń: kazały się wyrzec łatwego zaspokajania pragnień trudnych do opanowania, bo głęboko zakorzenionych w instynktach. Organizacja społeczna stawia przed jednostką wzniosły postulat wyrzeczenia się

przemocy, potępia zdradę i podstęp — i ucieka się w czasach wojny do podstępu, przemocy i zdrady. Wojna nie zna praw, o których była mowa w czasie pokoju — wojna nie zna nawet praw wojny.

Państwo — mówi Freud — traktuje jednostkę tak, jak traktuje się nieletnich: kryje prawdę pod maską „pedagogicznych” kłamstw i zdaje się monopolizować bezprawie jak tytoń, alkohol i sól. Rozprężenie zasad w stosunkach międzynarodowych nie może nie paczyć sumień indywidualnych: z gasnącym autorytetem prawa wyzwala się w jednostce okrucieństwo i nienawiść.

Mówi się często o człowieku jako o „istocie z natury dobrej”. Jest to mit podobnie jak mitem jest teoria ewolucji moralnej.

Zakorzeniona w nas głęboko skłonność do zła jest w historycznym rozwoju niezmienna. Psychologia wieku dziecięcego mówi o prawdziwej preegzystencji zła, które co najwyżej ulec może przemianie w życiu jednostki (nie ludzkości). Człowiek może stać się dobrym i może stać się złym. Prawdziwa zasada przemiany będzie zawsze indywidualna „wewnętrzna” — niemniej układ zewnętrznych wydarzeń może tę przemianę utrudnić lub ułatwić. Zarówno w jednym kierunku jak w drugim. Żyjemy dziś w czasach moralnej i umysłowej deprawacji. „Mam tu na myśli — pisze Freud — ów zanik inteligencji, ową tępą zawziętość, uporcezywe uchylanie najbardziej oczywistych argumentów, dziecienną wiarę w najbardziej wątpliwe tezy.

„Filozofowie i znawcy człowieka wiedzą o tym, że w błędzie jesteśmy, gdy chcemy widzieć w intelekcie władzę autonomiczną, która może nie liczyć się z siłą uczuciowego życia. Uległy potężnym imperatywom uczuciowym intelekt staje się narzędziem woli i zdąża do tych konkluzji, które mu woła podsuwa. Narody nie idą dziś za głosem interesu, ale za głosem namiętności. Jeśli interes wysuwają na plan pierwszy to po to jedynie, aby zracjonalizować namiętność. Dlaczego jednostki etniczne pełne są wzajemnej pogardy i nienawiści? Oto tajemnica, której sensu dociec nie umiem. Wystarczy zdaje się skupić w zbiorowość miliony jednostek aby

miejsce moralnych zdobyczy zajęły prymitywne, stare zło-
ża psychiczne, brutalne i dzikie”.



W rozprawie swej (skonfiskowanej swego czasu przez cenzurę wiedeńską) Freud nie występuje rzecz jasna jako anarchista i „wróg Państwa w ogóle”. Jako psycholog chce być tylko interpretatorem i wyrazicielem uczuć, które stanowią, jakby tło psychicznego życia jednostek dręczonych wojną.

Warto było sobie przypomnieć ten liczący już niemal ćwierć wieku artykuł. Freud lepszym był prorokiem od tych, którzy przyszłość świata czytać chcą w gwiazdach. „Nie gwiazdy bowiem, ale pragnienia i namiętności rządzą człowiekiem” — pisał św. Tomasz „Pauci sunt sapientes qui passionibus resistunt”. Znakomity psychiatra (o którym mówi jeden z najprzenikliwszych znawców jego myśli, że zglebił jak nikt dotąd, co w człowieku najmniej jest ludzkie) przewidział ogrom moralnej katastrofy, która musiała za sobą pociągnąć wojnę. Nie można rozpętać bezkarnie „słusznej” nawet i „sprawiedliwej” nienawiści. Uczucie nienawiści raz rozpętane — przez samą swoją dynamikę wyzwała w człowieku wszystkie potępione i na dno świadomości zepchnięte uczucia. Wojna zniekształca nie tylko dusze najeźdźców — ale zatruwa nienawiścią, a więc zniekształca i duszę tych, którzy starają się najeźdźcy przeciwstawić.

Kiedy po walce okrutnej — pisał Freud — z goryczą i troską, powrócą żołnierze do ognisk rodzinnych, nie będą ich dręczyć wspomnienia. Beztrosko powrócą do rodzin niepomni tych, których zabili. Człowiek dziki, buszmen, czy mieszkaniiec Ziemi Ognistej wykazuje więcej moralnej wrażliwości: zwycięzcy, który z boju powraca, nie wolno wejść w obręb wsi rodzinnej i nie wolno zbliżyć się do żony, dopóki nie oczyści się przez pokutę. Oczyszczenie moralne wydaje się być koniecznym warunkiem przyszłego pokoju. Posypanie głowy popiołem będzie miało dla przyszłego pokoju znaczenie bardziej doniosłe niż „definitywne” ustale-

nie granic i organizacje przemysłowe kontynentu. Bo człowiek wbrew pozorom nie walczy ani o zboże ani o naftę — właściwym powodem wojen są źle wytyczone granice moralne.



Przemiany, które w czasie wojny wstrząsają ludzkością, nacechowane są dla Freuda zespołem tych objawów, które właściwe są zaburzeniom psychicznym i konflikt zbrojny jest jak gdyby „nawrotem” zbiorowej nerwicy.

W istocie — taki jest właściwy sens psychoanalizy — zaburzenia psychiczne nie są prostym zachwianiem umysłowej równowagi, ale nawrotem do pierwotnych archaicznych źródeł życia psychicznego. Jest w rozważaniach Freuda dyskretnie zaznaczony, motyw, który uszedłby jeszcze czujności cenzury, mimo iż dziś jest bardziej wyraźny niż przed laty. Freud „nieśmiało” tylko mówi o związku jaki zachodzi między „zbiorowością” a regresją do „prymitywnych, starych form uczuciowych brutalnych i dzikich”.

Interpretując, może zbyt dowolnie myśl wiedeńskiego psychologa, powiedzieć można tak: gaśnie wartość jednostki wtedy, kiedy wysuwa się na plan pierwszy jednostka zbiorowa, naród czy klasa.

Takie jest źródło zbiorowej historycznej nerwicy, której istotą jest potężny ruch „regresywny” ten sam, który psychiatra odnajduje w indywidualnych aberacjach.

Odwraca się oto nurt starego Renu, tak jakby płynące od wieków wody w poszukiwaniu zatopionego złota ruszyły w górę biegu odsłaniając zamulone łóżyisko historii tragicznego narodu. Wyłaniają się na pół zagrzebane w piasku zardzewiałe pancerze i tarcze germańskich bogów. W oczach naszych złoto mityczne przemienia się w żelazo. W zgiełku smyczków i blach, w wulgarnym wrzasku wagnerowskiej orkiestry szumi rzeka unosząc w swoich skrętach cienie gotyckich katedr i fabrycznych kominów — „w przeszłość” — w górę Renu, do źródeł historii i rasy.

Wojna dzisiejsza — to jakby walka z falami starego Renu — żeby znów płynęły swoim łóżykiem zbuntowane wody

topiąc i grzebiąc w mule rzeczonym przekłete żelazo i złoto.

Zdziwiłby się stary psycholog, gdyby mu powiedziano, że takie oto wnioski wyciągną po latach z jego pism.



Jeśli człowiek nie chce się pogodzić z wojną — mówi Freud — to nie tylko dlatego, że sumienie jednostki wychowanej w zasadach poszanowania prawa cierpi nad obrazem zbiorowego „legalnego” bezprawia. „Człowiek nie chce się pogodzić z faktem śmierci”. Mówimy zapewne, że „śmierć wieńczy życie” i wiemy, że jest nieunikniona. Ale człowiek, jak mowa była wyżej, jest irracjonalny i przysłowiowa „sapientia” nie wyczerpuje jego istoty. Jeśli świadomość godzi się z koniecznością śmierci, jako z losem, którego odmienić nie może, to głębokie pokłady uczuciowe burzą się przeciw śmierci: nie możemy sobie nawet przedstawić w wyobraźni naszego zgonu — „jeśli widzimy siebie na łożu śmierci, to zachowujemy sobie niemniej rolę widza i tym samym zachowujemy istnienie”. Bo logika uczuć różna jest od logiki Arystotelesa. Tradycyjny syllogizm w sformułowaniu uczuć jest czteroczłonowy:

- 1) wszyscy ludzie są śmiertelni,
- 2) Sokrates jest człowiekiem,
- 3) Sokrates jest śmiertelny,
- 4) Nie jestem Sokratesem i nie wierzę w śmierć.

To poczucie nieśmiertelności wprowadzone przez Freuda (z pominięciem perspektyw metafizycznych) z przemożnego instynktu życia, leży u podstaw tragicznego konfliktu, w którym uwikłana jest jednostka w czasach wojny: nie możemy już śmierci „przeżyć”. Śmierć nas osacza, śmierć wstrząsa światem — żyjemy w jej cieniu. I tak wojna porusza najgłębsze złoża psychicznego życia. Wojna każe wierzyć w śmierć!

Zygmunt Freud był nie tylko psychologiem. Wbrew pozorom był przede wszystkim moralistą i dlatego chcąc się uporać z psychologicznym konfliktem odpowiada jak mora-

lista: „Pamiętajmy o starym przysłowiu: „Si vis pacem, para bellum”. Czas już przekształcić dawne wskazanie: „Si vis vitam, para mortem”. Jeśli życie chcesz dźwigać i ze śmiercią pogodzić się musisz. Lekkomysłny stosunek do śmierci zniekształca życie. Życie staje się ubogie i traci swój sens z chwilą, gdy nie chcemy zaryzykować najwyższej stawki, to znaczy życia. „Navigare necesse est vivere non est necesse”. Nie chcemy się ze śmiercią pogodzić, ale w tym właśnie leży tajemnica heroizmu.

Wojna wyzwala w nas nienawiść i wraz z nienawiścią wyzwala potępione uczucia, „ce qui dans l'homme n'est pas humain”. Zapewne, ale wojna wyzwala w człowieku „heroizm”. Dlatego warto, warto nienawidzić i cierpieć i walczyć, aby zasłużyć sobie na szacunek w oczach własnych. I nie tylko w naszych, ale i w oczach tych, którym chcemy przekazać wartość życia godną człowieka — nie niewolnika.

SPIS RZECZY

Słowo wstępne K. Regamey'a	5
Słowo wstępne X. A. Jakubisiaka	29
Portret Kanta	33
Odpowiedź na list Francesca	71
O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji	81
Myśli o wojnie	93



S2

